


BIUSYCI



zł. 1.20

faibinichi

ROK LXVI WARSZAWA 21 STYCZEN 1933 NR. 3



Ponad wszelką wątpliwość wyższy
jest środek, który został wynaleziony po latach całych poważnej pracy i oddany do rąk publiczności dopiero po przeprowadzeniu klinicznych doświadczeń przez wybitnych naukowców. Jeśli więc po 30 latach środek ten cieszy się na całym świecie uznaniem z powodu swej skuteczności, czystości i nieszkodliwości, to można twierdzić, że jest wyższy ponad wszelką wątpliwość. Aspiryna istnieje tylko jedna! Do nabycia w aptekach.



Panflavin-
w PASTYLKACH dla ochrony
przed
zapaleniem gardła i zaziębieniem
Do nabycia w aptekach.

514

516

Początek roku! Początek kłopotów!

tak myśli każda Pani Domu.

ŚPIESZYMY Z PORADĄ:

KSIĄŻKA RACHUNKOWA KOBIETY POLSKIEJ

dopomoże każdej z Was do wybrnięcia z trosk, związanych z prowadzeniem gospodarstwa domowego.

Cena książki w oprawie kartonowej, o dużym formacie tylko zł. 1.50 (zniżona), (z przesyłką pocztową zł. 2.10), więc wydatek znikomy, a bezwzględnie przyczyni się do rozwiązania całego szeregu trudności, które w dzisiejszych czasach goszczą w każdym domu.

Wypróbowany, przejrzysty, łatwy układ książki daje możliwość rozpoczęcia prowadzenia rachunków od każdego dnia, i napewno w krótkim czasie zrównoważony budżet stanie się podstawą spokoju w każdym domu.

Przejrzeć i nabyć można

w każdej księgarni oraz w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Warszawa, Solec 87 i Plac Zamkowy 9.

Blewsz

społeczno-literacki ilustrowany tygodnik kobiecy

„DEMOKRATYCZNOŚĆ”

Jesteśmy nią przepelnieni. Jesteśmy tak pewni tej swojej „demokratyczności”, że wcale nie próbujemy nad nią się zastanawiać. Już nawet nie podkreślamy owej dominandy naszych czynów i pomyśleń, chyba, że nam to właśnie wypada na rękę.

Tak, tak... Od spraw bardzo drobnych do znacznie większych. Taki mały przykład: „Wie pani, jadę jutro do Zakopanego. Ale postanowiłam jechać trzecią klasą; w drugiej jest naprawdę za gorąco”.

— Paniusiu! — chciałabym zawołać. — POCO ten fałszywy wstyd, że nie stać na drugą klasę? POCO to wymawiać się gorącem i poco wogóle się tłumaczyć? Jadę trzecią klasą, bo mi się tak podoba, bo tak dla mojej kieszeni wygodniej i ani pomyślę o tem, że jadąc drugą, czy pierwszą, mogę tem komuś imponować. Jesteśmy przecież demokratyczni, nie?

Zresztą mogliśmy ową czysto materjalną supremacją, najczęściej od nas niezależną, imponować tylko głupim i próżnym ludziom; czyż mogłoby nam na tem naprawdę zależeć?

Aż mnie żenuje, że piszę o tem, takie to się wydaje oklepane, a jednak...

Jestem właśnie w Zakopanem. Co krok spotykam kogoś znajomego (pleć żeńska przeważa).

— Gdzie pani mieszka?

— Ach, wie pani, w pensjonacie X. Y. — (bardzo drogi i hyper-pierwszorzędny) — nie było miejsca, musiałam zatrzymać się z konieczności w pensjonacie A. B. — (II albo III kategoria) — ale mieszka tam także pani wojewodzina (względnie pani pułkownikowa etc.).

Wzrusza człowiek ramionami: gdzież ta demokratyczność? Skąd to uczucie niemal zawstydzienia, że nie stać nas na luksusowy hotel?

Słońce tu wręcz kalifornijskie, śnieg jest, sprzęt narciarski stał się prawie dla wszystkich dostępny — kursy prowadzone są świetnie, a więc tyle powodów

do radości. Ale paniusie przesuują punkt ciężkości nie na cud zimy podtatrzańskiej, ale na sąsiadowanie przy lunch'u z panią ministrową, czy zgoła generałową.

Kiedy jestem zagranicą, obserwuję na każdym kroku, że tam cieszą się ludzie właśnie z tego, że się lokują w schronisku, najprymitywniej, że tam pointę sportu stanowi właśnie całkowite odrzucenie balastu form, zwyczajów, nawet znajomości, obowiązujących przez 365 dni.

U nas pod tym względem tak bardzo jeszcze inaczej! Ta „demokratyczność” — to dęty balonik.

Powie może ktoś, że przykłady, które powyżej przytaczam, są charakterystyczne raczej dla próżności, a próżność była i jest naszą wadą narodową. Ach, Boże! te definicje: „narodowe” wady! Jakże znakomicie odciążają sumienia, rozszerzając pojęcie dziedziczności ad infinitum. Przecież demokratyczność — ta prawdziwa, mądra, wyklucza wszelki, najdrobniejszy moment chęci imponowania tem, co stanowi szczególny moment chęci imponowania tem, co stanowi prawdziwą i prawdziwą demokratka ani zastanowią się nad tem, że możliwości materjalne mogą być czemś w rodzaju legitymacji.

Demokratyzm wyklucza próżność i właśnie dlatego twierdzą, że ponieważ tych próżności, próżnostek spotyka się u nas na każdym kroku, u każdego niezliczone gatunki i odmiany, nie nazywajmy się więc tak bez zastrzeżeń i zbyt pochopnie demokratami, nie miejmy się za takich bardzo „demokratycznych”, bo dalibóg to są tylko słowa, słowa...

Właściwie w Polsce każdy jest raczej „arystokratą” w bardzo dowolnym i niekiedy podejrzanym tego słowa znaczeniu. Każdy jest kimś „wyższym” w stosunku do tego kogoś, kto, według utartego, a więc naszego zdania, nie stanął jeszcze na tym samym, co



Cz. 434 / 66 < 1933 >

my, szczebelku. Zawsze jest ktoś „starszy i młodszy” nie według lat, oczywiście, ale w swoiście czy urzędowo uznanej hierarchji.

Iluż, iluż, wspiąwszy się ponad swoją sferę, staje się parwenjuszami! Obserwować to można na niezliczonej ilości przykładów — od śmieciarza począwszy, częstokroć na wysokim dygnitarzu skończywszy. Widocznie pojęcia „égalité, fraternité” etc. — to tylko cacka bezwartościowe, zawieszane na wątlej niteczce. Niteczka ciągle się zrywa.

Widocznie też owa „równość, braterstwo” — to nie są wcale pojęcia wrodzone, ale nabyte. A sędzę, że do nabycia tych zwłaszcza pojęć potrzeba dużo kultury i bardzo wysokiego gatunku człowieczeństwa. Stąd istota demokratyzmu, właśnie na równości i braterstwie oparta, naogół jest nam obca.

Najczęściej degradujemy ją, uważając za zniżanie się do poziomu przeciętności, a nie starając się podnosić skali własnego sposobu bycia, myślenia, działania, i tak niewidocznie i subtelnie narzucać ją otoczeniu. Byle, na miłość Boską, nie stawiać siebie za wzór, przykład, ideał! Ot, poprostu, stwarzać atmosferę. Trudna sztuka, ale warta studjów. Taka dzisiaj rzadka, a taka niezbędna, taka upragniona!

Oto droga do demokratyzacji w lepszym stylu. Droga do wykazania pustki i bezwartościowości tylu odmian frazeologii na tyle tematów.

Mam tu na myśli zwłaszcza ową demokratyczność, jako podobno zasadniczą cechę dzisiejszych czasów. A cóż za nieporozumienie! Przecież prawdziwi demokraci wszystkich czasów i pokoleń wysuwali, jako hasło, ogólne prawo do pracy. Praca, według nich, dawała prawo do życia; tych, którzy nie pracowali, uważano za nieużytków społecznych. Według demokratów, nie dobra materialne, nie urodzenie, sfera, stanowiły o wartości człowieka, ale właśnie praca.

Oczywiście, dziwnie brzmią dzisiaj te teorie, w najlapidarniejszej formie streszczone, w dobie, kiedy przeszło trzydzieści milionów ludzi ginie z powodu braku pracy; nie mniej jednak warto od czasu do czasu zastanowić się nad nimi wobec tego, że przecież tak często spotykamy się z karykaturalnym zjawiskiem podkreślania swojej wyższości i prawa do przywilejów z tego tylko tytułu, że się nie jest zmuszonym do pracy zarobkowej.

Dotyczy to pań, paniuś, które z jakimże nieopisanym akcentem komunikują: „to może ja podejmę się tego dyżuru, bo *przecież* nie pracuję zawodowo”. To *przecież* jest nieporównane!

Powie ktoś, że to złośliwość, czy zgola przesada? Myślę, że nie. Spotykam się z tem bardzo często. Konstatuję również na podstawie tylokrotnie powtarzanej obserwacji, że pojęcie pracy jest dla „demokratycznej” społeczności — ach, nawet i dla demokratycznej elity naszych czasów — pojęciem dotąd należycie nieuświadomionem. Przecież pracę identyfikuje się najczęściej z zarobkowaniem, degradując ją w ten sposób całkowicie.

Ileż to razy (przeważnie zawsze) mówi się synonim i córkom o wyborze zawodu pod kątem widzenia zarobków, osiągnięcia pomyślniej sytuacji materialnej. O pracę, jako o wyładowaniu możliwości twórczych, o pracę, jako o radości życia, o ile odpowiada zamiłowaniom naszym — aż nie wypada mówić! Praca, wedle utartych kanonów, musi być czemś znojnem, uciążliwym, czasem dopustem Bożym.

Ciągle jeszcze skierowuje się uwagę młodych, wbrew nim samym, na taką pracę, która zapewnia rzekome dostojęstwa i zaszczyty; ciągle jeszcze, nągminnie pokutuje pogląd o wyższości jednej pracy nad drugą.

A przecież o jej wartości stanowi jedynie i wyłącznie *nasz* do niej stosunek — stosunek umiłowania.

Zamiatacz ulic, o ile ma świadomość pożyteczności i konieczności swej pracy, o wiele wyżej stoi od pana adwokata, czy inżyniera, który bez zapału i niechętnie obowiązki swoje wypełnia.

I dlatego ciągle, stale, zawsze należy przypominać o konieczności rozwijania i pogłębiania pojęcia pracy w duchu najszerzej i najszlachetniej pojętego demokratyzmu.

Oto zadanie pierwszorzędnej wagi, jakiemu winna sprostać dzisiejsza kobieta - wychowawczyni.

Jeżeli prawdą jest, że idą czasy, w których wyścig pracy zastąpić ma wyścig krwi i żelaza, to czas najwyższy uświadomić o tem nowe pokolenie i zaszczerpić w młode dusze miłość do pracy, pojętej nie tylko jako środek utrzymania, ale jako wartość, podnosząca naszą godność — godność pełnego człowieka. Tylko taka postawa życiowa jest naprawdę demokratyczna.

Janina Strzelecka.

M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA

DOM MÓJ

*Dom mój przenośny jest, jak namiot błędnego nomada
— i płynny jest — i ruchomy — a jednak nie upada...
Rozmiar jego i kształt posłuszne mi są i uległe,
cementem starań cierpliwych oblepiam każdą cegłę.
Miłość kładę, jak miód, we wszystkie pęknięcia, szczeliny,
nad każdą nową robotą długie trawię godziny...
Utrwalam w domu mym wciąż wiązania i przyciesie,
nie bacząc, co mu się zdarzy i gdzie go los poniesie...*

Ankieta Bluszczu o nowy typ mężczyzny

Podajemy dziś głosy: p. Marji Gadomskiej, redaktorki działu kobiecego w „Polsce Zbrojnej” i p. Marji Ankierniczowej, kierowniczkę działu kobiecego w Polskim Radjo, znanej naszym Czytelniczkom z jej feljetonów i artykułów, umieszczanych w „Bluszczu”.

Źle zaczynam sprawę, skoro z miejsca chcę przyznać rację mężczyźnie — zacnemu panu Kornelowi Makuszyńskiemu, który w swej odpowiedzi na ankietę wyraził słuszne zdanie, że znacznie celowiej byłoby pisać o uprawie buraków pastewnych, niż o nowym typie mężczyzny. Bowiem ten ostatni, jakim był w epoce, gdy (za grzech Ewy) z rajlu go, biedaka, wyganiano, takim i pozostał do dnia dzisiejszego i wcale nie myśli się odmieniać.

Słusznie — bo i skądżeby nowy typ?

Może się zmieniać sylwetka mężczyzny — w to wierzę — zwłaszcza, gdy mu krawiec więcej waty w ramiona wpakuje. Ale typ? To jest już całkiem inna historia.

Lepiej niechaj się świat dokoła niego zmienia i przystosowuje; mężczyzna umie się cenić. Bo co tu dużo mówić? — dobrze wie, że jest przez naturę protegowany, „ma plecy” ten mamin synek.

Już i teraz, kiedy sobie różne kobiety i kobieciątka z wielkim trudem i hałasem troszkę mięśnie wyrobiły, to, jak najtypowsza teściowa, natura od razu się dąsa. Że jak będą takie silne, takie dzielne i zamaszyste, to może się przestaną podobać mężczyźnie, a wtedy co?.. One przelatują Atlantyk, a tymczasem obiad może wykipieć i, jak „On” przyjdzie, to będzie przypalony, i t. d., i t. d. Poprostu niema nadziei, żeby ją (naturę) jakoś ugłaskać. Np. małe ustępstwo: na dwunastu synów — jedna córka. Od razu zmieniłaby się konfiguracja i środek ciężkości zainteresowań.

Kwestją, która specjalnie zajętrza sytuację, jest walka o pracę. Mężczyzna, ściągając pieniądze świata do swej kieszeni, zasłania się obowiązkami rodzinnymi, ojcowskimi. Lecz przyjrzyjmy się wielu, wielu rodzinom. Czy nie matka jest tu jedynym stałym punktem, czemś istotnym naprawdę? Dużo się mówiło o „uczuciach ojcowskich”, ale musimy przyznać, że z temi uczuciami zawsze było jakoś niewyraźnie, a teraz to się jeszcze bardziej popsulo. Z matryarchatem nie wypada zaczynać, a z drugiej strony małżeństwo jest ofiarą ze strony mężczyzny. Gdy nawet już popełni on ten bohaterski krok, to czyż i potem lekkomyślnie może się pozbawiać tylu coraz to nowych możliwości, jakie mu życie przynosi?

— Przecież my owe zarobione pieniądze wydajemy tylko na was, kobiety! — wołają mężczyźni.

Tak, ale to nie to samo. Żona tak łatwo przestaje być dla mężczyzny... kobietą.

Z tą pracą to jest jeszcze sprawa o tyle skomplikowana, że mężczyzna upiera się przy niej nie tylko przez specjalne umiłowanie pracowitości. Poprostu,

inaczej nie może. Bo i wyobraźmy sobie takiego pana Erazma, czy Chryzostoma, jak leży na tapczanie i ogląda paznogie, marząc o powrocie żony, zajętej na budowie, w sądzie, czy w biurze. Zarabia ona dobrze, jest zdolna, pan Chryzostom nie potrzebuje się zajmować domem. Ma wprawdzie dyplom, ale o pracę bardzo trudno, a żadnych specjalnych uzdolnień nie posiada. Poszedłby chętnie na spacer, albo do klubu, ale żona nie lubi, gdy sam wychodzi, jest za zdrosna. Zatem leży, oczekując jej przyjścia.

I właściwie... wszystko w porządku. Tylko... jeden mały szkopuł: nawet najnowocześniejsza kobieta odwróciłaby się z niechęcią od takiego męża...

Dopóki będzie to ujmować zaleć, wdzięku i honoru mężczyźnie, że jest on utrzymywany przez kobietę — dopóty będzie on ją zwalczał w wyścigu pracy. Gdyby ten pogląd nagle się odmienił, to bądźmy pewne — miałybyśmy od razu tyle trudu i pracy, że ażby nas przygniotła. Może zatem lepiej trochę z tem uważać i nie wmawiać w świat, że jesteśmy aż tak bardzo silne? Bo ten świat od razu nauczy się tyle od nas żądać, że nie nadażymy, jak owa „silna” Jenny, o której pisała Sygryda Undset.

Nie tędy, zatem, droga. Nowy typ mężczyzny trzeba dopiero wychować. I musi tego dokonać kobieta. Dotąd tylko mamusie rodziły synekczków — teraz kobieta musi wreszcie zacząć rodzić i wychowywać mężczyznę. Dostyc tych chińskich twarzy, które witają rodzące się dziewczynki! Dostyc tego wyjątkowego stanowiska, jakie mają chłopcy w domu! Matki same przedewszystkiem psują swych synów. Gdzież podwójna moralność święci większe triumfy, jak nie w rodzinie? Mówi się o tem dużo, ale w domu jest wszystko po staremu.

To znów niektóre „nowoczesne” kobiety uważają, że zamiast podwójnej moralności — powinna zapanować podwójna... niemoralność. A wtedy dopiero krzywdy zostaną wyrównane.

Jednym słowem ta kwestja chroma i utyka, a lekarze twierdzą, że dolegliwość dopiero wtedy ustąpi, gdy poprawi się stan całego organizmu.

Na zakończenie — mała uwaga: kobiety powinny wreszcie zrozumieć jedną ważną, choć może narazie przykrą prawdę, którą mężczyźnie sama natura podszeptnęła i na której on się tak utuczył i uniezależnił: że jeżeli człowiek nie chce stać się igraszką najchimeryczniejszych sił — nie powinien sobie pozwalać na tak wielką miłość, żeby wyrzeczenie się jej mogło spowodować załamanie duchowe i utratę życiowego pionu.

Marja Gadomska.

W zrównaniu do „jedności“.

„Bluszc” swą ankietą, ogłoszoną na temat „Nowego typu mężczyzny”, nie tylko wstrząsnął umysły, lecz nawet pobudził sumienia. Zarówno świat męczyzn, jak i elita umysłowości kobiecej odczuła potrzebę wypowiedzenia się w tej sprawie.

Dlaczego zaznaczyłam, że poruszone są sumienia? Ponieważ większość sądów jest nawskroś subiektywna, a więc źródło ich opiera się na doświadczeniu własnym lub conajwyżej zaobserwowanem u kogoś bliskiego. A taki sąd bywa zazwyczaj wynikiem długich dysertacyj z własnym sumieniem.

Pozwolę sobie wnioskować, wbrew opinii mych poprzedników, że typ nowoczesnego mężczyzny już się wyraźnie zarysował. Na czym ta nowoczesność polega, to jest rzecz względna, bo każdy w czym innym jej się dopatruje. Ale przecież każda współczesność stwarza typ sobie właściwy; dlaczego okres, który my przeżywamy, miałby być o to uboższy? Trudność polega jedynie na zdefiniowaniu cech najcharakterystyczniejszych owego typu, ponieważ patrzymy nań zbyt blisko, bez niezbędnego perspektywicznego oddalenia, które najlepiej uwypukla kontrasty.

Niektóre, radykalnie usposobione uczestniczki ankiety stwierdzały z całą stanowczością, że współczesny mężczyzna — to poprostu cymbał! Jaka szkoda! Bo czyż nie narzuca się tutaj jaskrawa refleksja, że wystarczy jednego napotkanego w życiu cymbała, aby przesłonił on kobiecie świat cały? I pozbawił ją zdolności realnego spojrzenia na mężczyznę?

Podobne zaślepienie jest bardziej zrozumiałe wśród tych kobiet, które ostatnim wysiłkiem dogasającego szczepu windują nieszczęsnego mężczyznę — na pana stworzenia! On już nawet nie chce, a one par force pchają go na piedestał. Co więc ma biedak uczynić? Chyba się poświęci?

Ale gdybyśmy tak postanowili doszukać się w społeczeństwie męskim strefy umiarkowanej? Takich zwykłych śmiertelników? Poprostu ludzi! Są — i to rzesze całe, wdzięcznych, że ich nareszcie właściwie zakwalifikowano. A więc zgadzamy się: mężczyźni — poprostu ludzie. Z wadami i zaletami, hartem i słabością, energią i bezwolą, poświęceniem i cynizmem, inteligencją i tępotą — jednym słowem istoty, z duszy i ciała złożone, które trzeba brać w takiej koncepcji, w jakiej je natura ukształtowała.

A teraz, gdy podchodzimy do tego mężczyzny ze skalpelem, aby wyłuskać z niego cechy charakteryzujące „nowy typ”, o którego definicję chodzi nam najbardziej, nasuwa się nowa wątpliwość. Czy można analizować go w kompletnym odosobnieniu? Raczej chyba — nie. Pewna synteza mężczyzny i kobiety pozwoli nam na bliższe dotarcie do źródeł obiektywnej oceny. Kobieta staje się taką, jaką pragnie ją mieć mężczyzna. Mężczyzna jest takim, jakim pragnie go widzieć kobieta. Kobieta ma wrodzoną zdolność przystosowywania się do typu, wymaganego przez mężczyznę. I, co ważniejsze, czyni to chętnie, zewnątrz i wewnątrz — fizycznie i psychicznie.

Typ mężczyzny nie przekształca się tak szybko i nigdy na kaprys lub żądanie. Powoli przystosowuje się wyłącznie do zmiany warunków i to w poszu-

kiwaniu najdogodniejszej dla siebie pozycji. Może więc i ten współczesny mężczyzna jest tylko iluzorycznie nowym typem? Może to stary, lecz świeżo przez nas, kobiety, polichromowany? Twierdzenie dość przekonujące, bo przecież „nie nowego pod słońcem” — a jednak świat jest ciągle inny, jak kalejdoskop, w nieustannym ruchu, nieustrudzenie przegrupowuje swe wartości. I dokonywa tego z niezachwianą równowagą i niezamąconą harmonją. We wszechświecie nawet kataklizmy niosą w sobie źródła pierwiastków twórczych.

Wyłączmy więc z tej wielkiej potęgi życia dwa maleńkie jestestwa — kobietę i mężczyznę — tak bardzo wzajemnie od siebie uwarunkowane. Można objąć je pojęciem matematycznej jedności. I wtedy zdumienie nas ogarnia, gdy obserwujemy nieustannie zależność jednej wartości od drugiej, wyrażoną stałą koniecznością utrzymania równowagi.

Jeśli przyjmiemy, że 10/10 równa się kobieta plus mężczyzna, to dostrzeżemy, że gdy wartość mężczyzny wynosić będzie 7/10, to kobieta nie posunie się ponad 3/10; gdy wartość mężczyzny będzie się obniżać, natychmiast kobieta rozpocznie pracę nadwyzkową. Kobieta przedwojenna żyła odbłaskiem wartości mężczyzny. Wojna zmusiła ją do wypracowania własnego znaku matematycznego, określającego jej istotę. Cyfra ta urastała w rekordowym tempie i w konsekwencji stała się katastrofalna dla powojennego mężczyzny. Współczesny mężczyzna jest bezwzględnie typem upośledzonym, lecz pocieszmy się, że to typ przejściowy. To on dziś wart jest 3/10, i dlatego współczesnej kobiecie jest z nim źle, gdyż świadomość przewagi nie jest wykładnikiem jej szczęścia. Poczucie tej dewaluacji może stać się łatwo piekłem mężczyzny, ale wtedy nie oszczędzi i kobiety, gdyż wzajemne tarcie nigdy nie dopuszcza do ugruntowania się podstaw harmonji współżycia.

Rozwój psychiki, umysłowości, sprężystości zawodowej kobiet był dla mężczyzny powojennego olśnieniem i na początku serdeczną ulgą, że mimo rozbięcia i wykołajenia — świat nie zginie. Potem, gdy odpoczął, dostrzegł w kobiecie niebezpieczną konkurentkę i rozgorzał chęcią walki. Chęcią zepchnięcia jej w cień, bo już jest niepotrzebna. Dzięki tym procesom mężczyzna nowoczesny stał się wulgarny i bezmyślnie okrutny. Czas najwyższy, aby płomień tych porywów już dogasł. W przeciwnym razie nieprędko podniesie się poziom etyczny współczesnego mężczyzny, którego przykład już i tak dostatecznie nadwątlił podstawy moralne kobiet.

Zdjęcie nadmiernego ciężaru z bark kobiecych, sprawiedliwy podział obowiązków i przywilejów, wspólność interesów, wzajemna pomoc i współpraca zarówno w zdobywaniu podstaw egzystencji, jak i wzbogacaniu swych władz duchowych i umysłowych — oto właściwa droga, po której kroczyć powinni współczesny mężczyzna i współczesna kobieta. Wtedy każde z nich będzie stanowiło połowę tej idealnej jedności. I będzie można stwierdzić, że nie tylko zostanie zachowana w naturze równowaga dociągnięcia do jedności, ale uzyskana harmonja podziału stworzy nową formę życia.

Marja Ankiemiczowa.

Cienie wieczoru

POWIEŚĆ

ZOFJA KUNICKA

3)

Marynia Szczygielska stała tuż przy furtce w granatowej, lekkiej sukience, z beretem na czarnych, lśniących włosach i z książką w ręce.

— Jak ona ładnieje!

Jednym rzutem okna Ceśka objęła tę bladą pleć, podobną do zamszu, twardo naciągniętego na mięśniach twarzy; te czyste barwy, rozłożone równomiernie, delikatny róż brody, czerwień ust, błękitnawe, gładkie półkola pod oczami — twarz, niekniętą jeszcze palącym wichrem życia.

— A ja? — zapytała siebie z zalem niedorzecznym — dlaczego już nie jestem taka?

— Dzień dobry, panno Cesi. Powiem pani sekret: tylko proszę przed mamusią mnie nie zdradzić: ja tu czekam na kogoś. Czy nie widziała pani młodego chłopca z czerwonym goździkiem przy klapie?

Pensjonarka uśmiechała się przy miłnie, ledwo błyskając zębami, ale oczy jej patrzyły z chmurną, upartą namiętnością.

— Nie, Marysiu. Nie widziałam. Idę wprost z domu. A czy mamusia jest?

— Owszem. Niech pani idzie do mamusi, do kuchni, a ja wyjdę za bramę.

Ceśka podźwigała dalej swój pakunek.

Siódma klasa, szesnaście lat. Och! ona nie myśli czekać. Wyjdzie za furtkę. I tylko ci, co nie wychodzą nigdy, nie widzą nic, nie mają nic. To samo zresztą Szczygielska. Marysia urodziła się zbyt przedko po ślubie. „Ja już dłużej nie mogłam czekać: trzydzieści lat, to kryzys dla panny” — mówiła ze śmiechem; „mój stary mi się narwał pod rękę”...

Szczygielska była tęgą, wysoką, czarnowłosą kobietą. Przy szarym, zapracowanym, zahukanym mężu kipiała życiem, temperamentem, humorem. Trudno było przypuścić, aby pięcioro dzieci było dziełem ich obojga, aby ten niepozorny człeczyzna mógł poza biurkiem tyle energii z siebie wydobyć. Żona zato przypominała drzewo, które co roku wypuszcza rozrzutnie młode pędy wiosenne, albo mocną, roboczą klacz, która, orząc i włócząc cały rok, w nadadtku pewnego kwietniowego wieczoru powraca z pola z małym zrebakiem u boku.

Szczygielska chowała jedno dziec-

ko, uczyła je chodzić i jeść — i już czekała na drugie i tak wciąż, póki się nie skończył pełen urozmaiceń okres płodności. Pozatem była wesola, uczynna i gościnna, ale Ceśka więcej się jej bała, niż lubiła, mianowicie za zły język i „mówienie w oczy prawdy”, czyli przykrych uwag.

Zastała Szczygielską oczywiście w kuchni, w zapachu gorącego szmalcu i obłokach pary, która uciekała przez otwarte okno. Ubrana w zniszczoną suknię kretonową i rozdeptane pantofle, nie wyglądała na matkę tej eleganckiej i chłodnej dziewczynki, co czekała na miłość przy płotku, obsadzonym różami.

— Na jutro robię kurę pieczoną i chróst — oznajmiła Cesi zamiast przywitania, jakgdyby rozeszły się przed pięcioma minutami. — Może pani przyjdzie na obiad?

— Dziękuję Pani bardzo! wyjeżdżam do Poręby zaraz po rannej mszy.

— Ach, to szkoda, szkoda. Zaprosiłam też jednego pana, któryby się pani napewno podobał. Dzierżawi tutaj w powiecie folwarczek. Ma się wcale dobrze.

Ceśka się zaczerwieniła.

— Przyniosłam pończochy i sweter. Chcę jeszcze pójść po zakupy do miasta.

— Niech pani chwileczkę zaczeka. Zaraz dam herbaty z ciastkami. Przyda się po waszym obiadku. No, niech się Pani nie obraża! czyż ja nie wiem, że się tam u was nie przelewa? Nie, ja pani nie puszczę. Musimy pogadać.

Ceśka wymówiła się z trudnością od herbaty, ale ciastko musiała zjeść. Wiedziała, niestety, że jeszcze się drzwi za nią nie zamkną, a już Szczygielska powie do służącej: „widziałas tę mizerotę? certuje się, a w domu ani zobaczy czegoś słodkiego. Chyba chleb z marmeladą”.

Szczygielska trzymała ją za guzik przy sukni i mówiła półgłosem:

— Niech pani jeszcze jutro nie jedzie. Są ważniejsze rzeczy. Ten dzierżawca, to już niemłody człowiek, tak około sześćdziesiątki... Ale czerstwy, schludny, pracowity. I pani przecież już daleko od dwudziestu, prawda? Zabrałaby pani mamę, Domcię...

— Ależ ja nie mam zamiaru, pani Stanisławo!... ja wogóle nie chcę, nie mam skłonności... — broniła się

Ceśka, z ustami pełnymi tłustego ciasta.

— To źle. To bardzo źle. Trzeba się zastanowić. To już ostatni czas, chociaż pani jeszcze wcale dobrze wygląda. Ech, Marcycho - perszeronko, skub kurę, a nie wyciągaj uszu.

Uwaga skierowana była do młodej kucharki, której wspaniałe kłęby istotnie przypominały ciężarowego konia. Kuchareczka odwróciła się z sennym i zakłopotanym uśmiechem i otoczyła się, jak wróżka, chmurą lekkiego pierza.

— Tak, wygląda pani jeszcze wcale dobrze. Pan Hieronim nie daje pani więcej, niż 28 lat. Widział panią w kościele. Cnota idzie pani na zdrowie: tak bywa z blondynkami. Ale to do czasu, do czasu! Domcia naprzykład: stare pomiotło, za przeproszeniem. O, Fela mądrzejsza. No, niech się pani nie gorszy, nie oburza, panno Cesi. Skwaśniałyście w waszych zasadach, a ona tymczasem ostrożniutko, cichutko miała swego chłopca. Szkoda, że nie potrafiła przeprowadzić go do Sakramentu; zawsze to inna jest sytuacja kobiety zamężnej. Za mało miała sprytu. No, ale trudno! lepszy rydz, niż nic. Ja pani serdecznie radzę: nie namyślać się, nie oglądać; brać, co daje życie, bo niedługo będzie za późno i święty Boże nie pomoże.

— Wyjeżdżam jutro — rzekła Ceśka, wstając, z oczami, do których napływały łzy. — Teraz muszę jeszcze odnieść robotę do sklepu, żeby w domu zostało trochę grosza.

Pani Szczygielska z kieszeni w spodnicy wyciągnęła portmonetkę.

— To za sweter i za pończochy. Poproszę jeszcze panią o ciepłą kamizelkę dla starego. Widzę, że się pani gniewa, panno Cesi, za moją szczerość. Ale nie na długo, prawda, że nie na długo? Ma pani we mnie bardzo życzliwe serce.

Marysi już nie było przed domem. Ciepły blask popołudnia opadał popod drzewa, nad uliczką, rzęda pachniała, matjola; wśród zielonych pnączy groszki się jarzyły, niby mnóstwo motyli.

Jakże mogła gniewać się na Szczygielską? Ciągłe obstalunki, gotówka do ręki, pomoc w chorobie, dla mamy codziennie kubeczek śmietanki do kawy, częste zaproszenia na herbatę, na obiad i jeszcze częstsze i cięższe... pożyczki...

— Fela! Fela! Czyż to może być?

Kiedy? Kiedy? Ich siostra, wychowana w tej samej surowej czystości! Szczygielska mogła przesadzić, ale ileż się okazało prawdziwych z jej informacji! Udzielała ich chętnie: „otwierała oczy“... Wszakże to od niej dowiedziała się Ceśka prawd bolesnych o ojcu. Jak nieskazitelny Stefan hulali, tracił majątek żony, jak utrzymywał kochanki za jej plecami, a nawet we własnym domu rozłajdaczył nieletniego syna i wpędził go w chorobę i śmierć.

W nieoczekiwanych, prostodusznych słowach wylaniała się ta prawda kropla po kropli, lecz tem pewniejsza. Potem Ceśka zasypywała siebie zawsze gorzkimi wyrzutami: jak mogła, milcząc, słuchać tych potwarzy, przemykających się delikatnie w przwijaciel-skiej pogawędce między łykiem herbaty, a keskiem faworka; jak mogła pozwolić żyć pamięć zmarłych i nie zerwać z tą kobietą na zawsze?!

Czy Domcia pozwoliłaby na to? O, nigdy. Domcia, pomimo fizycznego niedołęstwa, była stanowcza, bezwzględna, jak matka. Ona potrafiłaby odrazu zamknąć usta wielomównej sasiadce. To też Domcia nie wiedziała o niczem prosto dlatego, że nie wierzyła. Wszvstko było dla niej niesłychanem, ohyd-nem oszczerstwem, a zbrodnią — cień wątpliwości.

Gdy raz Ceśka, znękana nekrolatją rodziny, odezwała się: „pocóż robić gwałtem świętego, gdy ojciec nim nie był i być nie chciał?“ — „Co przez to rozumiesz?“ — syknęła Domcia. — W głosie jej brzmiała groźba, oczy stały się pełne niespodzianej nienawiści. W oka mgnieniu stanęła w obronie kultu, którego i ona była kapłanką, w obronie tego mizernego ideału, który przyświecał ich szarym dniom.

Takie słowa zdradzały chęć bluźnierczą, chęć wprowadzenia nieufności i krytyki w atmosferę kontemplacji; takie słowa rozrywały spoidła między tą grupą zrzeszonych komórek, jaką była ich rodzi-

Co do Feli, ta wiedziała o wszystkim, ale nie mówiła. Tak; pod tym względem trwał pomiędzy nimi cichy, tajny pakt. Może ze względu na spokój, na zdrowie matki. Może ze względu na potrzebę jakiegokolwiek ideału. Może tylko ze względu na bezwład ich formy życiowej, zakrzepłej, dopasowanej do nich od tylu lat.

W zapomnieniu, w przeoczeniu smutnej prawdy tkwiła jakby jedyna możliwość rezygnacji, możliwość pogodzenia się z ciężarem życia. Trzy córki obchodziły tę prawdę ostrożnie, jak zakopany dynamit, czując, że dotknięty, wydobyty —

natychmiast wybuchnie, rozwali ich egzystencję, rzuci je na drogę nie-wiadomej i beznadziejnej walki.

Czasami bowiem podkradała się bezsensowna myśl, jak inaczej ułożyłoby się wszystko, gdyby nie zostały zdeklasowane przez ruinę, zepchnięte na szczyble, gdzie, aby nie czuć ustawicznie niedosytu i upokorzenia, trzeba było wciąż zapominać, wciąż nie myśleć...

Ceśka przerzucała nakunek z jednej ręki do drugiej; ciążył jej w to gorące południe. Szła wąziutkim chodnikiem. Aby minąć przechodnia, trzeba było często schodzić na bruk. Cienkie, wytarte podeszwy nie zabezpieczały nóg od urazu najeżonych kamieni.

Dzielnica raziła ubóstwem i bezplanowością przedmieścia. Uliczki wciskały się, gdzie się dało, pomiędzy luźno rozstawione, żółto pomalowane domy, pomiędzy szopy i oparkanie podwórza. Z płytkich, do szaf podobnych sklepików ubogi towar wysypywał się aż na ulicę. Przechodząc, jednym spojrzeniem można było ogarnąć, co się tam mieści: kolorowe cukierki, butelki z wodą owocową, wiśnie w koszyku, rulony bibulki, przybory szkolne...

Kupcowe stały oparte o ramę drzwi, albo siedziały na dworze na zydełkach, uśmiechem i gestami zapraszając do kupna:

— Pani, pani! co potrzeba?

Ceśka знаła ich wiele. Od rana do zmierzchu wartowały senne i ciepłiwie, ożywiając się tylko na widok kupującego. Były to żydówki stare, otyle, w perukach lub — bardziej postępowe — bez peruk, o brązowych, pomarszczonych twarzach, licho ubrane, obute w starzyzną.

Były też i młode ich córki, czar-nowłose, smutnie z pod wielkich rzęs patrzące wschodnimi oczami na to północne miasteczko, bez drzew svkomory, bez kamiennych studni. Te dziewczęta szybko wychodziły zamaż i na progu innego sklepiku sprzedawały naftę, chleb pszenny, albo miętowe, różowe laseczki. Ich oliwkowa cera traciła swój mat i twardość alabastru, piękność ginęła we wczesnych zmarszczkach, gasła z obrzękiem powiek; melancholia przemieniała się w tępotę. Stawały się brzydkie, pospolite, tłuste i niechlujne, a u ich kolan znów rosły dzieci, na których twarzach znowu blaskiem młodości, niby rzeczy niezniszczalnej, odżywały te same, ogromne oczy i ta sama, obcoplemienna tęsknota.

W swym nieustannym ruchu w górę i w dół ta linja była dla Cesi jakby wykresem czasu, miernikiem jej własnych lat, obrazem życia,

które przemijało, chociaż dla niej wydawało się bryłą i trwałością.

Egzystencja owych biednych, pracujących ludzi była szara, ale miała swój rytm — rytm wiosny i jesieni, narodzin i śmierci. Tam rozkwitała krótka, olśniewająca młodość, łagodnie zstępowała w wiek dojrzały, wiek owocowania i trudów dla jutra, a ten bez szemrania wkraczał w bezbarwną, uciążliwą starość, u której stóp już szemrały nowe pędy.

Przecież, biorąc zzewnątrz, było to okropne życie — stuk drewnianych okiennic, rano i wieczorem rozlegający się po ulicy, ten mizerny towar i kredyt, towar i klienci, jełkie cukierki, świece, smarówka i lody — przez dziesiątki lat, przez pół wieku.

Lecz jeśli przyszła choroba — groźba przerwania tego pasma — jakież wzruszenie ogarniało wówczas! Wśród popłochu i smutku wszystkie przedmioty nabierały szczególnej ceny; kolorowe przepiękne światło oblewało wnętrze sklepiku, nieśmiertelny widok na bruk i szyldy, imbryk z wrzątkiem co rana na fajerce kuchni, zgrzyt pompy na podwórzu, zapach chleba, pył mąki pszennej (trzy zera), dźwięk drobnych monet w blaszanym pudełku, delikatny ruch wagi, czulej, jak stare serce; twarze, ręce kupujących — to wszvstko pełne było cudownego życia, które stanowiło codzienną własność i które nieznany wróg chciał zabrać zniszczonemu, choremu człowiekowi. Sprzedał ostatni sprzęt, wydał ostatni grosz na doktora i aptekę, z zapartym oddechem słuchał poleceń starannie odzianego pana, uczonych słów, które brały go za ręce i wprowadzały nanowo w świat najmilszy — do płytkiej wnęki żydowskiego kramu.

Ulica szła teraz pod górę i pod cień starych drzew. Sklepy były lensze, z obuwiem i tkaninami. „Meble, Trumny, na żądanie karawan“. Za drzewami leżały koszarv, ogrody cieniste, gorące sadzawki słońca. Żony i córki oficerów, ubrane letnio, strojnie, w suknie głęboko wycięte i bez rękawów, chodziły obok rabat z kwiatami, grały w ten-nisa za żelaznym parkanem. Niektóre z nich szły na spacer do miasta w towarzystwie sierżantów i poruczników, wesole, rozbawione. Porcja lodów w najlepszej cukierni oraz kino wieczorem dawały złudzenie stolicv.

Ceśka czuła się smutna i samotna ze swym tobołem pończoch. Chciałaby być jedną z tych pań, iść w nowej sukience obok urzej-mego, młodego oficera, nie dumać o tem, poczemu dostanie mięso i czy zapłaci jej dziś za obstalunek

(d. c. n.).



WARSZAWA PO STU LATACH

II. GŁOSY PODWÓRZA.

To będzie półżywy dźwiękowiec. Rysownik utrwała na papierze najdrobniejsze wahanía, zaś na ekranie widzimy tylko pewne linje podobne z szeregu drgnień. Dam jedynie niektóre ruchy i dźwięki.

Siedzimy przy stole. Jemv kuronatwę na grzance, bo jest kryzys. Muzyka! Odwracamy głowę ku balkonowi, wybiegamy na balkon. Po środku podwórza, w półkole ustawiona, gra amatorska orkiestra.

Dyryguje blondyn w wypielzłej, aksamitnej czapce, uderza w bęben pan w eleganckim, granatowym palcie i popielatym kapeluszu (któraś z nas szepcze: „Gdyby mój mąż miał taki kapelusz!...“). W beżowe tweedy przyodziany sportowiec plecami, ramionami i biodrami wzbija takt, na gitarze gra ładny chłopiec, przyspiewuje demoniczny atleta w baskijskim berecie. Śpiewają stare arje i najnowsze przeboje.

Na wszystkich balkonach ukazują się słuchacze, a potem z niekażdego miradoru spada słabo brzęcząca moneta. Pewno dlatego, że tu i tam rozdzwoniły się telefony...

Idą dalej — droga do wiedzy kamienista jest, choć odbyta w takt „Małej Chinki“.

Częściej nie widzę podwórza, tylko je słyszę. Czy zawsze w Polsce było tylu ulicznych śpiewaków, co w tej złej dobie? Może dawniej wzbraniano wesołej formy żebractwa? Dziś prześwietna Rada miasta poszła śladem pana Chiappe'a, który zdecydował, że w smutnych czasach trzeba dać ludziom możliwie wiele wesela i pozwolił wędrownym śpiewakom w sobotę popołudniu, a w niedzielę przez dzień cały na wszystkich punktach Paryża zbierać wokół siebie tłum, zgodnie powtarzając każdy refren.

Tylko, że francuzi są bardziej po-

mysłowi: nigdy dwóch jednakowo nie motywuje swego „poświęcenia dla sztuki“. Zaś polacy, pewno szczerzy, od razu proszą o pomoc dla bardzo licznej rodziny. Przytem wyznają, że woleliby, zamiast tak chwiejnego, bo na ludzkiej dobroci opartego zarobku, pewny: parę złotych dziennie, zdobytych pracą.

„Nie mam żadnej roboty! Jestem młody i silny...“ „Czcigodni państwo, choć koszulę, pożyczochy dla żony!...“

Ktoś otworzył radjo — rozspiewała się nielitościwa arja z „Pajaców“: „Śmiej się...“

Czasem w kwadrat podwórza donośnym głosem wjeżdża aeroplan. Wyglądam przez okno. Nie zabłąkany w drodze, ale stale i regularnie odlatujący i wracający do swego domu, który dla niego nazywa się lotniskiem. Stalowy ptak, jak ptak Wierzyńskiego, żywi się tylko chmurami, nie więc mu po tem, że w cieniu jego skrzydeł jakaś baba wykrzykuje sezonowe jagody: „Borówki, paniusiu, borówki!“

Zakołysał się na chwilę, jak rozpięty na niebie krzyż, zabrał swój cień, stłumił swój furkot i odleciał.

Wszystkie głosy podwórza zagłuszę stukiem Remingtona, który napisze nowelę „Mój samolot“...

III. „GŁADZIUTEŃKIE, DO JEDWABIU“...

Gdy wraca się wieczorem do domu, idzie się wśród szmeru próśb, które gwar dnia zagłusza. W każdym zakamarku, w każdym założeniu, we wnękach okien, zazdrosząc spokojnego snu odpoczywającym w wilgotnych suterrenach — stoją, siedzą i leżą bezdomni. Mężczyźni, kobiety, całe rodziny. Drobne dziatki, owinięte w podarte chustki, drzemią, grzejąc się ciepłem matki. Niekiedy zmęczenie tak znuży żebraka, iż rękę po jałmużnę wyciągając, za-

styga w błagalnej pozie. Są tacy, którzy za datek choć w części chcą się odplacić: sprzedają kwiaty, placuszki, byle co. Nie mówiąc o tych, które sprzedają siebie.

Dziwię się zatwardziałości swego serca: nie wzrusza go nawet ślepy, klęczący na bruku. Dopiero na rogu Brackiej i Chmielnej zatrzymuje mnie staruszek, niosący w rękach wielki zapas wieszaków.

— Proszę kupić! Gładziuteńkie, do jedwabiu!

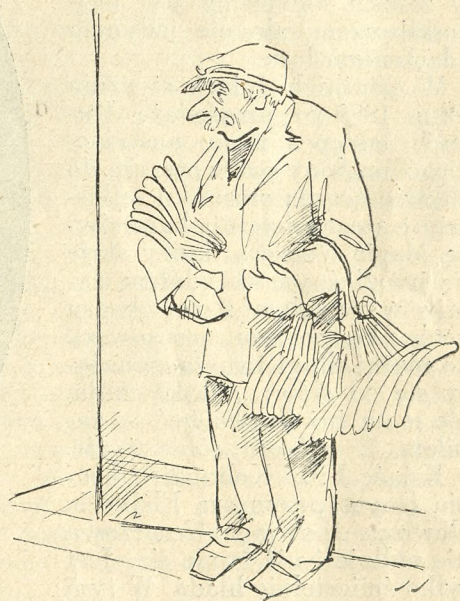
Śpieszę do domu, w projekcie nie mam nowej sukni do umieszczenia na kołku. Tem bardziej jedwabnej, skoro wełna jest modna. Pomimo to nabywam wieszak. Czynię to nie ze współczucia, lecz z bezmyślnej oszczędności; należy szybko zlikwidować zaczepkę, bo spóźniona godzina zamknie bramę i Cerberowi wypadnie zapłacić haracz. Nie uważam nawet, czy ze złotówki nie wyda mi 20 fałszywych groszy. Albowiem 80 groszy kosztuje mały kawałek drzewa z naszych olbrzymich lasów (nie wzięto go więcej, niż używa się na fujarkę!). A są w Warszawie restauracje, gdzie obiad kosztuje 60 gr., z trzech dań — chleba bez liczby i miary, jakby się było we Francji; herbatę pić można bez miary, jakby się było w Chinach!

Oto jaskrawy przykład dysharmonji naszych cen — przyczyny obecnej, tak ostrej formy kryzysu! Mój postępek jest jednym więcej dowodem tej dysharmonji.

Zamyśliłam się nad tem tak głęboko, że przeszłam daleko poza swój próg. Wypadło więc zapłacić „szperek“.

Zato posiadam w swej szafie wieszak, gładziuteńki, choć do jedwabiu, a w głowie jedno jeszcze przetwarzanie dzisiejszych stosunków — bezradne.

Aura Wyleżyńska.



Elżbieta cesarzowa austriacka

Ta karta jest stosunek Elżbiety do jej kuzyna i przyjaciela z lat dziecinnych, Ludwika II, króla Bawarskiego. Romans, czy przyjaźń?.. Nie dowiemy się nigdy. Faktem jest, że charaktery tych dwojga ludzi przedstawiały niesłychane analogie, że spędziwszy niemal razem dzieciństwo i rozstawszy się w zaraniu młodości, w chwili małżeństwa Elżbiety, nie przestawali pisywać do siebie, widywać się w czasie późniejszych podróży i w poetycznym decorum „wyspy różanej”, znajdującej się na jeziorze Starnberg, pomiędzy zamkiem Possenhoffen a rezydencją króla Bawarii, leżącą na przeciwległym wybrzeżu. Z pozostałych papierów wynika, iż przeżywając swoje własne, rzeczywistości i ludzkim prawom wydarte dzieje, nadawali sobie wzajemnie poetyczne nazwy „orla” i „gołąbki”.

Śmierć Ryszarda Wagnera, którego król Ludwik II był wielbicielem, wstrząsnęła nerwami monarchy. Wpadł stopniowo w chorobę umysłową, zakończoną tragiczną śmiercią w jeziorze Starnberg, gdzie utonął razem ze swym lekarzem, złączony z nim konwulsyjnym uściskiem ostatniej, szaleńczej walki.

Elżbieta odczuwa głęboko dramaty i utratę najserdeczniejszego przyjaciela i powiernika. Szereg śmierci w jej najbliższej rodzinie, a głównie nagły skon ukochanego ojca, pograżają cesarzową w głębokiej melancholji. Poddaje się gnębiącemu przeczcuciu nagromadzonych nad swą głową katastrof. Tragedja w zamku Meyerling jest najdotkliwszym, ale nie jedynym uderzeniem losu.

W ostatnich dniach stycznia roku 1889-go arcyksiążę Rudolf, następca tronu austriackiego, nagłony przez cesarza do zlikwidowania stosunku miłosebnego z szesnastoletnią baronówną Marją Vets'era, który staje się już głośnym skandalem, zabija wystrzałem z rewolweru kochankę, poczem, napisawszy do matki długi list, zaczynający się od słów: „Matko moja, nie mam już prawa żyć — zabiłem...”, odbiera sobie życie.

Książę Filip Koburski i hrabia Hoyos przynoszą Elżbiecie złowrogą nowinę. Cesarzowa nie mdleje i nie łamie się. Jest tylko śmiertelnie blada. W tym oparze bolesnych przeczcuc, w jakim żyje, przewidziała już

wszystkie fatalne możliwości. Powstaje i sama idzie zawiadomić Franciszka Józefa o nieszczęściu.

Opuszcza Wiedeń i tuła się po całej południowej Europie, smagana ustawicznie wichrem niepokoju, strasznych przeczcuc, okropnych wizyj. Zapytuje sama siebie, słowami Heinego:

„Poco jest zło? Poco istnieje cierpienie? Czy to przypadek? Czy też może Bóg jest niesprawiedliwy?.. Nieustannie stawiamy sobie te straszne pytania, aż oto nadchodzi dzień, gdy zamykają nam usta garstką ziemi. Czy to jest odpowiedź?..”

Powraca do swego Achilleionu, ale i ucieka zeń niebawem, szukając co raz to nowych widoków, aby zapomnieć o własnym, połamanym na drzazgi, istnieniu. Chętnie podróżuje yachtem po morzu Śródziemnym. W czasie burzy nie opuszcza pokładu. Każe się przywiązywać do masztu i patrzy na szamotanie się żywiołów. Czasami mówi:

— „Przeznaczenie rozkazuje wszystkim momentom naszego życia”. „Wiem, że idę ku straszliwemu celowi, który mi został wytknięty przez Przeznaczenie, i że nie w świecie nie zdoła zatrzymać mnie na tej drodze”. „Czasami los wybiera jednego z nas, aby uczynić zeń wspaniałą poemat, jak Edyp albo Medea...”



Cesarzowa Elżbieta

3)
Nie przychodzi jej na myśl, że mogłaby dodać jeszcze: albo jak cesarzowa austriacka Elżbieta...

Było jednak sądzonym Elżbiecie wystąpić raz jeszcze na wielkiej arenie życia publicznego, choć od czasu tragedji w Meyerling nie brała udziału w ceremonjach reprezentacyjnych dworu.

Delegacja narodu węgierskiego uprosiła ją o uświetnienie swą obecnością obchodu tysiącletniej rocznicy jego państwowej egzystencji. Cesarzowa nie zdołała odmówić. Rozplakała się tylko, gdy ją witano gorącymi owacjami na ulicach Pesztu. Wspomniała może swoje dawne lata, gdy była obwołana „królową amazońek” i miała jeszcze wszystkie swoje lzy...

W maju roku 1897-go siostra Elżbiety, duchesse d'Alençon, umiera w Paryżu, spalona żywcem w czasie pożaru Bazaru de la Charité.

Cesarzowa utwierdza się w mniemaniu, że jej kres już bliski i że czeka ją jakiś straszliwy koniec. Pragnie śmierci i boi się jej zarazem. Doświadcza skutków wyczerpania nerwowego i cierpi na zaburzenia sercowe. Kuracje w Nauheim i Kissingen nie przywracają jej zdrowia. Zaczyna widywać „białą damę” — rodowe widmo Habsburgów — ukazujące się rzekomo w dniach krytycznych członkom rodziny cesarskiej. W dniu trzydziestym sierpnia 1898-go roku ujrzy słowieszczy cień w Caux, koło Montreux, błędzący w nocy po alejach parku, otaczającego hotel, w którym zatrzymała się ze swoją świtą. Widmo patrzy na nią uporczywie, poczem znika. Elżbieta nie wątpi, że grozi jej coś okropnego. W dniu 5 września przyjeżdża do Genewy i zatrzymuje się w hotelu Beau-Rivage, w dniu 10-ym września, który jest właśnie tym dniem, tym dniem...

Cesarzowa jest spokojniejsza, niż zwykle. Chociaż Luigi Luccheni, anarchista i degenerat, pragnący dla idei zabić „jakiegoś” monarchę, lub „jakąś” monarchinię, nosi już od rana sztylet w rękawie robotniczej kurtki. Cesarzowa podróżuje incognito, które dla nikogo nie jest zagadką. Ma zwyczaj zabierać ze sobą kilkanaście osób służby i świty. Nie zachowuje specjalnych ostrożności — nie posiada wrogów. Jest tylko znękaną, chorą kobietą.

W tym dniu jest mniej przygnębiona, niż zazwyczaj. Pogoda i jasne słońce wypędziło upiory. O godzinie drugiej po południu wybiera się na przejażdżkę statkiem po jeziorze, przechodząc przez quai de Mont Blanc, spostrzega okryte kwieciami kasztany. Zwraca się do towarzyszek swej, hrabiny Sztaray, i mówi: „Cesarz pisze mi, że w Schoenbrunn kasztany zaczynają także kwitnąć po raz drugi. Czyż to nie dziwne?..”

W owym momencie podchodzi do niej człowiek w robotniczej kurtce i wbija sztylet w piersi. Gest jest tak nieoczekiwany, że nikt nie podejrzewa zamachu. Hrabina Sztaray sądzi, że cesarzowa została potrącona. Dźwigają zemdloną i przenoszą na pokład statku. Otwiera oczy i pyta:

— Co się właściwie stało?

Odpowiedzi nie słyzy — bo już umarła (taką wersję podają stare dzienniki z daty jej śmierci).

Cesarz Franciszek Józef zapłakał, dowiedziawszy się o skonie Elżbiety. Historia przechowała słowa monarchy, wyrzeczone podówczas do hr. Gofuchowskiego, ministra spraw zewnętrznych, i hr. Paar, swego adjutanta:

— Była to kobieta wyjątkowa, bardzo szlachetna. Była ozdoba mego tronu i mego życia. W najtrudniejszych chwilach była zawsze moją pocieszycielką i podporą. Świat nie podejrzewa nawet, jak bardzo myś-



Ludwik II, król bawarski

my się kochali... Teraz jedyną moją ucieczką jest Bóg...”

Dodać należy, że Franciszek Józef był zawsze przywiązany i rycerskim małżonkiem. Pisywał codziennie listy do Elżbiety i nigdy nie zrobił jej najmniejszej wymówki, że naraża go na olbrzymie koszty, prowadząc ustawicznie swe wytworne, koczownicze życie.

Zmarła trzydzieści kilka lat temu,

a jeszcze tu i ówdzie w piśmiach ukazują się wzmianki o niej, biografje, wspomnienia. W domach wielkich zagranicznych artystów - malarzy blakają się portrety tego niedoścignego wzoru fizycznej doskonałości i niewieściego czaru. Czyż nie jest godna pióra wielkich dramaturgów ta córka, wnuczka królów i rycerzy, wzruszająca jak grecka Psyche, w swej męczeńskiej tułaczce, w pogoni za najgłębszą prawdą własnego ducha? Czyż nie jest tak mocna w wyrazie, tak tragicznie przygnieciona brzemieniem fatalności, jakby się w niej ześrodkowała zbiorowa dusza wszystkich wymierających dynastij?

Przejdą lata. Zetleją animozje i sentymenty, snujące się jeszcze dokoła rozkruszonej, wczorajszej monarchji austriacko - węgierskiej. Dzieje Habsburgów i Wittelsbachów splewieją, jak gobeliny. Postać Elżbiety w perspektywie czasu nabierze witrażowych, legendarnych barw; ale jej bezcielesna osobowość nie przestanie fascynować umysłów, wrażliwych na piękno. Przyjdzie wreszcie artysta - kochanek, Rozmiłowanemi rękami wydzwignie ją z cesarskiego sarkofagu, niby dziecko z kolebki. Wyniesie na słońce, do nowego życia — świetniejszego, niż egzystencja, jaką jej zgotował przed laty rycerski małżonek; do nieśmiertelnego życia w SZTUCE.

S. Borowska.

Pani w białym fartuchu

Daleko na Czerniakowskiej mieszka moja krawcowa, której artystyczne paluszki potrafią ze starego, znoszonego palta stworzyć suknię cud, modną i świeżą, jakby wprost z wystawy sklepowej. Pani Marja jest cicha, spokojna i bardzo taktowna: nie narzeka i nie irytuje się, gdy klientka o umówionej godzinie na nią nie czeka. Bo pani Marja przychodzi sama do swych klientek: przynosi żurnale, próbki, dodatki, mierzy, upina, poprawia, aż odda do rąk skończone arcydzieło. Odmie, z ul. Chmielnej, śpieszy na Topolową, stamtąd na św. Florjana: nazajutrz ma inną turę: ul. Złota, Plac Zbawiciela, ul. Narbutta, Żelazna...

— Kiedy pani właściwie pracuje, by zdążyć wszędzie oddać robotę na termin, skoro pani pół dnia traci na przejazdy?

— Zostaje mi drugie pół dnia, t. j. wieczór i wczesny ranek, od piątej, kiedy moje klientki jeszcze śpią. Dziś o pracę coraz trudniej, kobiety mniej sobie sprawiają strojów, konkurencja duża... A zarabiać muszę, bo dzieci chcą jeść...

— Pani ma dzieci? — zdziwiłam się, wiedząc, że moja krawcowa straciła męża na wojnie.

— Nie swoje — uśmiechnęła się p. Marja. — Sierotki po siostrze. Zostało czworo drobiazgu. Ojciec nie pracuje, zredukowany...

I oto zdarzyło się, że ta zawsze tak bardzo punktualna pracownica nie przyszła w oznaczonym dniu. Nie pokazała się i nazajutrz. A tu właśnie była taka pilna robota: z zeszlortycznej sukni, pamiętającej pracowicie przetańczony karnawał, trzeba było koniecznie zrobić na jakiś umówiony dancing nowy poemat!

Zaniepokojona zwlekaniem, wybrałam się więc sama na przymiarke!

Czerniakowska ulica zdaje się nie mieć końca: wlecz się długo między dwoma rzędami niziutkich, przypadłych do ziemi domków, wśród których wystrzela zrzadka nowy, trzy lub czteropiętrowy „drapacz chmur”. Potem idzie się przez uliczki o krzywym bruku z „kociach łbów”, z małymi sklepikami, gdzie za brudną, mętną szybą stoją wiecznie te same słoiki z farbowanymi cukierkami i czekoladą w przesiąkniętych lojem papierkach. Tramwaj chodzi tu zrzadka, jakby odniechcenia, z łaski: jezdnią toczą się leniwie wozy, czarne od węgla i ciężkie, jak to życie szare na smutnym przedmieściu, tonące w lepkiem, rozdeptanym błocie...

Paru chłopaków buduje z tego błota groble; dwie dziewczynki, mo-

że kilkuletnie, grzebią się w niem, poszukując widocznie skarbów, których zresztą mają pełne ręczki: niedopałki papierosów, pudełko od zapalek, ogryzek jabłka i gałganki bez nazwy. Przez zsiniałe z mrozu paluszki cieknie im brudna, lepka maź, ale zdobywszy swej nie wypuszczają: przecie to może jedyna zabawka...

Przystają koło dzieci i zapytują o szukany numer domu. Dzieci podnoszą głowy i badają mnie spojrzeniem. Widocznie egzamin wypada dobrze, bo odpowiadają, że tam, trochę dalej, w bok, na lewo, w tym małym domiku.

— Zaprowadzę panią — ofiarowuje się dziewczynka z jasnymi warkoczycami.

Idziemy.

— Jak się nazywasz?

— Zosia.

— Ile masz lat?

— Sześć.

Sześć? Wygląda na cztery, takie to drobne, chude, mizerne...

— Czy chodzisz do szkoły?

— Nie, nie mam sukienki, ani butów, ani czapeczki. Ani książki. A w domu muszę pomagać mamie.

Ta „pomocnica mamy“ ma istotnie na nóżkach coś, co przypomina stare kalosze, przymocowane sznurkami. Stary kaftan, przepasany rzemieniem, zastępuje płaszcz. Strupki pod zaczerwienionym noskiem świadczą o chronicznym katarze.

— O, to tutaj — wskazuje Zosia parterowy domek nad sadzawką rozlanego błota.

Niema szyldu, ale słychać śpieszny terkot maszyny. Zapukawszy, wchodzi. P. Marja odwraca głowę i, poznawszy mnie, odrywa się od roboty. Przeprasza za zwłokę — „ale robota będzie gotowa na termin“ — zapewnia i tłumaczy się, że sąsiadka, pod której opieką zostawia dzieci, wychodząc „do miasta“, ma się gorzej i trzeba było ją pielęgnować w chorobie.

— Cóż jest sąsiadce pani?

— Suchoty. Zawsze kaszle i czasem krwią pluje. Ale pracuje. Bierze bieliznę do prania i latania. Tylko że teraz miała grypę i było z nią źle.

— Jakto, zostawia pani dzieci u suchotnicy? Przecie mogą się zarazić!

— Ano, cóż robić? Starsza dziewczynka chodzi do przedszkola, ale dwoje młodszych dojrzeć trzeba. Chłopak ma ośm lat i rano jest w szkole, zresztą on woli bawić się poza domem.

Przemknęła mi myśl: może to właśnie jeden z tych chłopaków, unurzanych w błocie...

Za ścianą doszedł nas suchy kaszel i jęk.

— Przepraszam panią, pójdę zobaczyć, może coś trzeba...

Wsunęłam się za krawcową do izby obok; izdebki raczej, czy nory

ciemnej, wtulonej we wnętrze warszawskiego podwórza. Ze ścian ziele wilgocią. Ach, prawda! wszak tu odbywa się pranie. Teraz balja stoi nieużyteczna, pusta. Obok kosz bielizny. Chora leży, podnosząc się w spazmatycznym kaszlu. Wreszcie odpłuwa. Odpłuwa na podłogę, barwiąc deski czerwona plamą...

— Zaraz zgotuję pani Marcinowej herbaty — mówi krawcowa — nachylając się nad kobietą.

Zbliżam się i widzę obok chorej śpiące dziecko.

— To moja Józia — wyjaśnia krawcowa. — Nie spała dziś całą noc, bo też kaszle i ma gorączkę. A ja muszę szyć przecie...

— Na Boga żywego! pani Marjo! — mówię już podczas przymierzania czepe marocain lila — przecie tak być nie może! Przecie to gruźlica! Trzeba leczyć kobietę, ratować dzieci!

Krawcowa spuszcza głowę. Jakaś ciężka kropla spada mi na jasną tualete.

— Jak? — pyta żałośnie. — Gdzie? I... za co?

— Ależ są Poradnie przeciwgruźlicze w Warszawie! Zaraz dzisiaj popołudniu proszę się udać z dziećmi. Zabrać wszystko czworo.

Wyjaśniam jeszcze szczegółowo, zapisuję adres i obiecuję, że przyjdę tam również.

W „Poradni“ pokój jest obszerny, jasny i ciepły. Siedzą tu matki, oczekując swej kolei do gabinetu lekarza. Poodwijały swe dzieci z koców, płaszczków i swetrów, karmią je i zabawiają. Niektóre starsze dzieci odrabiają sobie lekcje; widocznie czują się tu jak w domu. Mężczyźni przeważnie czytają gazety lub rozmawiają półgłosem.

Pani w białym fartuchu wywołuje nazwiska, rozdaje termometry do mierzenia temperatury, waży, zapisuje i rozpytuje. Czasem pociesza, gdy komuś od ostatniej wizyty na wadze nie przybyło, poucza półgłosem. Może pan doktor zapisze tran, może zastrzyki, może kąpiele, a może wyjazd do sanatorium. Owszem, Towarzystwo Przeciwgruźlicze w porozumieniu z innymi instytucjami, wysyła i osoby dorosłe i dziewczynki do sanatoriów. Tylko dla chłopców niema takiego zakładu...

A oto i moja pani Marja z dziećmi. Troje. Gdzież czwarte?

— Staszek przyjąć nie chciał. Wstydzi się... — tłumaczy się krawcowa.

Od lekarza wychodzi strapiona. Coś tam w płucach i gruczoły bardzo powiększone, powiedział pan doktor. Trzeba dzieci dobrze odżywiać, dawać owoce, pomarańcze, jabłka, mleko, tran, ale przecie pan doktor nie wie, jak jej ciężko...

Wstrzymuje się od płaczu. Ale łzy same płyną po twarzy, udręczonej codziennymi troskami...

Jest mi niewymownie smutno, bo czuję się taka bezradna!

— Jutro przyjdę do pani — mówi do niej przyjaźnie pani w białym fartuchu.

Przyszła. Tych istot „w białych fartuchach“ nie odstrasza dalekie przedmieścia, ani kręte i ciemne schody, ani zaduch suterenu, ani brud, nędza i choroby. Oto usiadła sobie przy łóżku chorej praczki, rozmawia z nią o jej bólach, kaszlu; uczy, że należy spluwać do tej oto spluwaczki, którą przyniosła ze sobą. A potem spalić, wylać na ogień, ale nigdy nie pluć ani na podłogę, ani na ulicę, ani wokół siebie. Bo przecie wokół są dzieci. I lufcik stworzyć trzeba koniecznie, chociaż zima.

— Nakryję panią, o tak, po samą szyję. A zawsze powietrza trochę wejdzie, a czasem słońce zaświeci — powiada, otwierając lufcik i odsuwając szmaty zasłon.

— Prawda, oddychać łżej?

Z moją panną Marją też odbywa dłuższą konferencję. Niema na jabłko i pomarańcze? Malej Józki dawać sok z marchwi surowej, a starszym marchew całą, tylko dobrze wypłókaną. Zamiast tych cukierków niech jedzą jabłka. I dziecka nie kłaść na łóżku chorej... Wietrzyć wciąż...

— A, a jeszcze jest kawaler? Chodźno, chłopcze, przywitaj się!

Staszek chowa za siebie brudne łapięta.

— Ręce myć trzeba koniecznie. A teraz obiecuję, że przyjdiesz do nas w przyszłym tygodniu... Zobaczysz naświetlanie.

I tak pomału dochodzą do porozumienia. Pielęgniarka jest kobietą, więc bliższa, bardziej „swoja“, skłonniejsza do ustępstw od nieublaganych wyroków lekarza na rzecz ciężkiej rzeczywistości. A może tylko umie je bardziej przystosować do życia?

I oto niedawno oznajmiła mi p. Marja, gdy ją zapytałam o dzieci:

— Chwała Bogu, jakoś wszystko odmieniło się, dzięki tej „Poradni“. Józka nie gorączkuje, śpi w nocy i przybyło jej na wadze. Wszystkie piją tran, mleko i chodzą na naświetlanie. Staszek nawet lepiej się uczy... Ma czyste ręce i pilnuje tamte, by także myły ręce, bo „niewiadomo, powiada, kiedy ta „pani“ przyjdzie i znów będzie wstyd“. Jest taki ambitny.

— A Marcinowa?

— Wzięli ją na czas jakiś do szpitala. Wypisała się teraz, pracuje i uważa, by nie pluć na podłogę.

— I — dodaje krawcowa — ja się tak przyzwyczaiłam otwierać okna, że teraz pracuję przy otwartym oknie i praca raźniej mi idzie.

j. m.

JANEK Z TUNISU

Tunis — to takie dziwne miasto, w którym wielopiętrowe, nowoczesne kamienice sąsiadują z labiryntem średniowiecznych arabskich sukiennic, pamiętających czasy krzyżowców; samochody suną obok odwiecznych, dwukółowych „arb”, nieróżniących się zbyt od rzymskich wozów wyścigowych, gdzie obok paryżanki, strojonej w model od Chanela, kroczy niewiasta w białych szarawarach, złotem haftowanym bolerku i w czarnej, wełnianej masce.

Wschód i Zachód podały sobie ręce i tańczą do wtóru arabskiej darbuki, włoskiej katarynki i piosenek Chevaliera.

Niedaleko instytutu Pasteur'a, którego duszą jest jeden z największych współczesnych uczonych — doktor Nicolle — ujrzenie mizerne „gourbi”, sklecone z palmowych gałęzi a w pobliżu stacji oceanograficznej, rządzonej przez słynnego ichtjologa Heldta, zaopatrzonej w mikroskopy, radjostację, wytwórnię filmową — kołyszą się u brzegów zatoki barki arabskie, budowane na wzór statków korsarskich.

Pewnego listopadowego poranku, kiedy Tunis rozbrzmiewał nawoływaniem handlarzy pomarańczy, dojrzałych granatów, jaśminu i tuberozy — spotkałam typową „beduinę”. Tak tutaj zwa włózacz się luzem, lub z rodzinami, arabki, przybyłe z południa, z oaz saharijskich. Siedziałam w małej kawiarence w Belwederze, u wrót rozległego parku, który jest tam dla mieszkańców Tunisu, czem są letnią porą Aleje Ujazdowskie dla zakochanych par.

Beduinka była ubrana w faldzistą melahfę, podwiązaną na brzuchu powrozem, na głowie dźwigała zawój, skręcony z kilku splewiałych szmat. Mimo to wyglądała, jak jaśnie pani. Wyciągnęła do mnie rękę szczupłą, szponiastą, wysmarowaną krwawą henną, i zaczęła coś deklamować ochrypłym głosem. Wytłumaczono mi, że proponuje korzystny business. Chee sprzedać swojego synka za dwa „duro” — czyli za dziesięć franków. Synek ma pięć wiosen; gdy podrośnie, zostanie moim pucybutem i nosiwodą.

Narazie odmówiłam. W podróży i tak dość ma się kłopotu z własną osobą. Niechże odda małego do „moniketek”, to jest do Franciszkanek, lub do Białych Sióstr. Tam mu będzie napewno, jak w niebie.

Zatrzepotała rękami, wyszczerzyła lśniące zęby i odeszła krokiem tangowym, kołysząc biodrami.

Gdy to piszę, kto wie, gdzie się podziewa pięcioletni Mohamed... Może go matka porzuciła na dro-



Glówna ulica w Tunisie

dze i poszła w świat, a Mohamed tuła się, niby bezpańska psina, w gromadzie innych „bezprizornych”. Bo takich Mohamedków, których wyrzekła się matka, a o których istnieniu ojciec nawet nie wie — włóczą się po wertepach afrykańskich — tysiące. Niema czemu się dziwić. Muzułmanin nie potrzebuje biegać do konsystorza, by uzyskać rozwód — wystarczy, gdy powie trzykrotnie do żony: „wypędzam cię”. Potem wprowadza do domu inną żonę, a wygnana Hagar zabiera Ismaela na puszcę i stara się go pozbyć w ten lub inny sposób. Zresztą w takich, jak Tunis, czy Algier portowych miastach roi się od małżeństw, nieposiadających świadectwa ślubu.

W upalne afrykańskie noce bóg miłości kojarzy najdziwniejsze pary: żołnierzy senegalskich z tancerkami Uled Nail; chińskich kupców z tunijskimi żydówkami; małe bezdomne Fatmy, włóczące się wśród doków — z marynarzami, których przywiozły okręty z dalekiej Północy...

* * *

Ale znalazła się pani, która postanowiła poprawić dolę ślubnych i nieślubnych podrzutków. Nazywała się — Saint, była żoną poprzedniego Rezydenta Francji w państwie Beja Tunisu, była też społeczniką w dobrym tego słowa znaczeniu.

Zbudowała piękny pałac, w którym każde bezdomne dziecko znajduje dach nad głową i macierzyńską opiekę.

Opowiadała mi o tem następczyni pani Saint, uroczą pani Mance-

ron, żona obecnego Rezydenta Francji.

W marmurowych salonach t. zw. „Palais de la Résidence” roi się od teatralnych janczarów, stanowiących przyboczną gwardję przedstawiciela Francji. W błękitnych, jak niebo, lub ponsowych bolerkach i szarawarach, w fezach, uwieńczonych końskimi ogonami, płyną po marmurowych posadzkach i anonują gości swoim zabawnym „sabirem” *).

Mała pani dużego domu przyjęła mnie w buduarze wielkim, jak meczet, do którego wiodą jasne korytarze, zasłane puszystymi kobiercami z Kairuanu.

— Chodziło nam o to — zwierza się pani Manceron — aby położyć kres pladze tępienia dzieci, skazywania ich na poniewierkę, albo na śmierć. Skoro nieszczęśliwa matka, która z tych czy innych względów nie może zatrzymać przy sobie dziecka, będzie wiedziała, że może zakolatać do bramy „żłobka” i że jej dziecko znajdzie tam czułą opiekę, że kiedyś będzie mogła je odebrać — to chyba tylko kobiety, pozbawione ludzkich uczuć, zdecydują się porzucić synka w przydrożnej „seguji”.

W „żłobku” dziecko przebywa dwa lata, potem odsyła się je do klasztoru Franciszkanek Misjonarek Marii, w Sainte Monique, niedaleko Kartaginy, gdzie w starożytnym pałacu arabskim, nad opalową zatoką, małżeństwa wiodą sielski i anielski żywot. Chłopcy siedmioletni idą do szkół rolniczych i zawodowych. Od niedawna zorga-

*) Dialektem.

nizowaliśmy skauting. Instruktorzy jeżdżą do letnich obozów do Cappy (Francja). Mamy już ekipę footballową takich różnokolorowych harcerzy.

Tegoż dnia zwiedziłam sławetną „Pouponnière”. Do raju dzieci, położonego na wzgórzu, za murami miasta, w sąsiedztwie potężnej bramy Bab Sadun, pamiętającej krzyżowców, wiedzie malowniczy gości-niec wiejski, pnący się pod górę, skąd coraz piękniejszy roztacza się widok na oślepiająco biały labirynt arabskiego miasta, lśniącego w blaskach zachodu nad morzem, podobnym do jeziora. Nawet więzienie wydaje się zamkiem Szeherazady, a wieża wartownika — strzelistym, rozmodlonym minaretem.

W afrykańskim słońcu najbardziej ponura twierdza nabiera powabu.

Na szczycie wzgórza, zwanego Rabta, stoi cichy, jasny dom, spoglądając szklanymi oczami okien na marmurową łamigłówkę Tunisu, na białe kopuły meczetów, pokraczne gałęzie figowców, sterczące ze szczelin w murach: patrzy na widmowe, fioletowe skały, wylaniające się z głębin zatoki. Widać stąd historyczne wzgórze Byrsy z ruinami Kartaginy, i rogaty wierzchołek Bu Kornina, poświęconego Baalowi. Widać też kilka fabrycznych kominów, ale nie psują one pogodnego nastroju. Stały na uboczu,

jak niepożądani goście, którzy nie śmieją przekroczyć progu królewskiej siedziby, trzymają się zdala od miasta, pogrążonego w błogiej kontemplacji.

Wewnątrz schroniska jest nieprawdopodobnie przytulnie i ładnie. Poprostu, cacko marmurowe, fajansowe, niklowe, aseptyczne, higieniczne, przewiewne, słoneczne, pełne kwiatów i śmiechu. W oszklonych, jak latarnie, pokojach bawią się zdrowe, wykarmione, wychuchane dzieci. Robią wrażenie dużych lalek, wystawionych na pokaz. Z uczuciem ulgi witam jedną bardziej ludzką, rzeczywistą postać — tłustą, nieładną arabkę, ubraną w biały fartuch. To matka jednego z chłopczyków. Opiekuje się nim, a jednocześnie pomaga pielęgniarce. Twarz jej promienieje, gdy patrzy na czerstwą twarzyczkę, w której jarzą się ogromne, czarne oczy.

— Naprzód nie chciała go urodzić — powiada mi oprowadzająca mnie pani — potem usiłowała zadusić maleństwo, wreszcie porzuciła je na drodze. Teraz zabiłaby każdego, kto by ośmielił się skrzywdzić „pociechę”.

W nawale wrażeń, w chaosie zmiennych nastrojów tuniżyjski „złobek” pozostawił mi zapewne wspomnienie czegoś niezmiernie pozytywicznego, co przynosi chlubę Francji, lecz nie chwytającego za

serce. Zobaczyłam jednak w Rabta coś, co odrazu nadało widzianej w przelocie placówce specjalną wagę. Zobaczyłam tam Janka.

Janek — to jeden z tych porzuczonych przez rodzinę dzieci, których Francja przyhołubiła i wyrwała ze szponów śmierci, ale który tem się różni od innych podrzutków, wychowywanych na koszt rządu francuskiego, że jest Polakiem.

Gdy się dowiedziałam, że w „pouponnière” benjaminkiem i maskotą jest mały polski chłopiec, syn nieznanego robociarza i matki również nieznannej, przyspieszyłam spacer do Rabty. Myślałam przez całą drogę, co też ja powiem temu malcowi, zabłąkanemu w Afryce. Pewnie się wzruszy, słysząc polską mowę. Żałowałam, że nie mam pocztówek z widokami Polski. Byłam prawie zażenowana i miałam nieudaną tremę.

Lecz, gdy do poczekalni wbiegł pięcioletni blondynek, o chabrowych oczach i kościuszkowskim nosku, ubrany w elegancki dżemper i krótkie, białe spodnie i zawołał paryskim akcentem: „maman chérie, où sont les bonbons?” (mamusiu ukochana, gdzie są cukierki?) — dając słowo, że mnie coś ścisnęło w dołku.

Ta, którą nazwał „maman chérie” — dyrektorka zakładu, krępa, czarnowłosa fraczka — chwyciła chłopca w objęcia i, obsypując go pocałunkami, szepnęła mu do ucha, że cukierków nie dostanie, ale że pojedzie zaraz z „ciocią” samochodem pani Manceron na wystawę kwiatów. Już przysłano maszynę.

— Niech pani, na miły Bóg, nie mówi mu o polskim pochodzeniu! — prosiła mnie potem, gdy „Jean” (nie Janek, ale Jean) wybiegł do hallu, pełnego kwiatów i słońca.

— Jean nie wie, że nie jestem jego matką. Ja go usynowiłam — dodaje z uśmiechem, pełnym tkliwości. — Kocham go szalenie. Chyba więcej, aniżeli rodzona matka, która nie zawahała się porzucić dziecka na pastwę losu.

W schronisku dla podrzutków w dalekim Tunisie „małym lordem”, benjaminkiem, „la coqueluche des dames”, jest mały „Jean”, o którym panowie z pałacu Rezydenta, zwiedzający zakład, szepczą sobie porozumiewawczo: — ależ to stu-procentowy Polak! Patrzcie na tę mleczno-białą cerę, na te niebieskie oczy...

Jego przybrana matka jest wdową po gubernatorze Madagaskaru. Dobrze jej patrzy z oczów, ale czai się w nich chwilami przestrasz i smutek. Boi się, aby Jeannot zbyt prędko nie dowiedział się prawdy.

— Pani powiada, że u was on zwałby się „Janek”? ach, to zu-



Młode arabki.

pełnie, jak w Bretanii: „Yannek“. To ładnie, ale ja wolę „Jeannot“.

Jeannot patrzy na mnie promiennymi oczami, śmieje się, ukazując drobne, mysie ząbki, jest rozchukany, wesoly, ufny, rozpieszczony. Tuli się i garnie do „maman“, włazi jej na kolana, naprasza się słodczy, wie, że mu wszystko wolno. W pewnej chwili podaje mi ramię szarmanckim gestem i prowadzi do swego pokoju, a potem do garderoby, gdzie dwie stare panny, przywalone stosem bielizny, cerują dziecinne koszulki.

— Dostałem dwa kotki od pani Manceron — krzyczy triumfalnie Jean — to moje dzieci. Proszę: ten bury, to synek, nazywa się Koko; a czarnuszka to córeczka Mickey.

Cisną mi się na usta słowa, których nie wolno mówić. Chciałabym szepnąć małemu Jean, że się nazywa Janek, że ma gdzieś na świecie matkę i ojca, którzy może go wspominają z tęsknotą i łzami. Ale pocóż rozbijać maleńkie szczęście, oparte na wielkiem kłamstwie? Janek znalazł ognisko rodzinne w obcym kraju; byłoby okrucieństwem wyrwać go z tej oranżerii, w której hodują go, jak rzadki okaz storczyka.

Gdzież się podziwia tamta prawdziwa, która płakała, wydając go na świat? gdzie ją zawiodły złe losy? Może tańczy w mrocznej kawiarence arabskiej dla czarnych „tiralurów“?

— Janeczku, czemu chcesz być w przyszłości? — pytam jasnowłosego cherubinka.

Przytula się do czarnej, tęgiej pani i, mrużąc filuternie oczy, powiada:

— Chcę być zawsze „małym chéri mojej maman...“

Ludwika Ciechanowiecka.

DŁUGIE WAKACJE ZIMOWE

Któż się nie cieszy na myśl o wakacjach? Każdy! A jednak raz się zdarzyło, że nadzieja długich wakacyj zasepiła czoła rodziców, a dzieciom przyniosła gorzkie rozczarowanie.

Taki wynik dały, poraz pierwszy w polskim szkolnictwie stosowane, długie wakacje zimowe. Gdy wieść o nich nieoficjalna obiegła sfery nauczycielskie oraz koła młodzieży, nikt nie dawał wiary, aby mogły być wprowadzone w życie w bieżącym roku szkolnym. To też urzeczywistnienie długich wakacyj w okresie Świąt Bożego Narodzenia było prawdziwą niespodzianką, która zaskoczyła wszystkich, nawet nauczycielstwo.

Pomysł długich wakacyj zimo-

wych nie jest rodzimy; jak również nie jest nowością w dziedzinie pedagogii eksperymentalnej. Zagranicą oddawna praktykuje dłuższą przerwę zimową w roku szkolnym, tylko tam osiąga ona cel, dla którego wprowadzona została w życie.

Jakiż jest cel długich wakacyj?

Umożliwić młodzieży równomierne korzystanie z wypoczynku w ciągu całego roku. Przyczem okres od 19-go czerwca do 19-go sierpnia, jako w naszej strefie najgorętszy, jest wolny od pracy; okres zaś od 22 grudnia do 16 stycznia ma dać możliwość młodzieży szkolnej wykorzystania sportów zimowych.

Założenie bardzo piękne, nie więc dziwnego, że władze szkolne pokusiły się o przeszczepienie tej metody na nasz grunt. Tylko tu wynikło małe nieporozumienie. Wakacje dano — lecz nie zatroszczono się o możliwość ich wykorzystania. I dlatego rezultat wakacyj wypadł ujemnie. Odpowiedzialność za to obarcza nie tylko rodziców, ale przede wszystkim władze szkolne.

W obecnych ciężkich czasach posyłanie dzieci do szkoły jest dla większości rodziców połączone z poważnym wysiłkiem; z jeszcze większym zdobywają się na wysyłanie ich latem na świeże powietrze, choćby w okolicy podmiejskie. Czyż można przypuszczać, że ci ludzie pomyślą nawet o wyjeździe swych dzieci na sporty zimowe? Z kim i dokąd?

Latem są obozy, kolonje, półkolonje, w różnych miejscowościach — dalej i bliżej. Sporty zimowe w mieście są parodją.

Ktoś powie — ślizgawka. Tak, ale z niej może młodzież korzystać i bez specjalnej przerwy w naukach. Rezultatem długich wakacyj bez wyjazdu jest wykolejenie i rozleniwienie dzieci.

Nie na tem kończy się jednak całe nieprzewidziane zło długich wakacyj. Jakże wielkie zastępy dzieci jedynie w szkołach znajdują dziś pomoc doraźną, umożliwiającą im przetrwanie ciężkiego okresu zimy. W szkole mają widne, ogrzane sale, dostają śniadanie, a niekiedy ciepłą odzież.

Z chwilą zawieszenia wykładów rozpoczęła się dla nich głódówka, a nie rozkosze wakacyjne.

Podejźmy teraz od mniej ponurej, choć niemniej realnej strony do tematu. Weźmy dzieci rodziców średnio uposażonych, którzy nawet ucieszyli się początkowo z tych ferij i zamierzali wysłać gdzieś swe pociechy. O wyjeździe wspólnym nie może być mowy. Ojciec ma dwa dni świąt; matka — o ile pracuje — nie więcej. Wysła się więc dziecko do kogoś z rodziny, lub do znajomych.

Ileż przeżyć i niepokojów związane bywa z podróżą takiego, dajmy na to, dziesięcioletniego osobnika,

który pierwszy raz wyrusza w świat, sam koleją, i będzie jechał kilkanaście godzin! Mogą go okraść; może wysiąść nie na właściwej stacji; mogą go w tłumie wypchnąć z pociągu; wreszcie, najgorsze: może nabawić się jakiejś zaraźliwej choroby.

Czyż można wobec tego pomyśleć o wysyłaniu w podróż dzieci samotnych? Można. Tylko trzeba im tę podróż umożliwić.

Jedynym wyjściem racjonalnym dla długich wakacyj byłoby przede wszystkim stworzenie pensjonatów-burs dla młodzieży w miejscowościach górskich. Tam obowiązki opieki nad dziećmi, w zależności od ich wieku, powierzaliby wychowawczyniom, instruktorkom społecznym i instruktorkom wychowania fizycznego. Takie pensjonaty - bursy, uruchamiane dwa razy do roku — raz w okresie letnim, drugi raz zimowym, podczas wakacyj — stałyby się rajem dziecięcym na ziemi.

Trzeba byłoby tylko zatroszczyć się o dostęp do tego rajku. A więc transport dzieci koleją. Nie nastęczałoby chyba wielkich trudności uruchomienie w tym czasie specjalnych wagonów dla podróżującej młodzieży. Wagon taki miałaby pod opieką również instruktorka, która przyjmowałaby młodocianych pasażerów od matek i na stacji wskazanej przekazywałaby oczekującym na nie osobom. W tych warunkach żadne z wymienionych poprzednio niebezpieczeństw nie zagrażałoby dziecku, a matka mogłaby być zupełnie spokojna o zdrowie fizyczne i moralne swego dziecka.

Miejmy nadzieję, że przyszłość przyniesie nam zrealizowanie tych marzeń. Dotąd jednak, dopóki nie będzie pensjonatów i wagonów dziecięcych na kolejach, zrezygnujmy z długich wakacyj dla klas młodszych i średnich.

Wprowadźmy to, jako przywilej dwóch klas ostatnich. Przed maturą dobrze jest należycie wypocząć. A tem bardziej, że o młodzież 17-to, 18-to letnią nie trzeba już tak się troszczyć.

Sami sobie radzą — więc i długie wakacje wykorzystają.

Dla małych zato byłoby raczej wskazane dorzucenie tego tygodnia nadwyżki do wakacyj letnich. Wrzesień u nas jest taki piękny. A przecież wszyscy lekarze stwierdzają zgodnie, iż każdy dzień, dodany do kilkotygodniowego pobytu na wsi, wzbogaca wielokrotnie zasoby organizmu. Okres początkowy jest przystosowywaniem się do nowych warunków, a gdy się zacznie nadbudówka regeneracyjna sił młodocianych, przyszłe wakacje letnie zastaną dzieci nasze już na odlocie.

A nie o to przecież chodziło inicjatorom zmian w terminach wakacyj.

Marja Ankiewiczowa.

NA KARNAWAŁ

Jakkolwiek prawie wszyscy uskarżamy się na znaczne zmniejszenie naszych zarobków, jednak na ogół przystosowaliśmy się do warunków ekonomicznych o tyle, że z bardzo małym nakładem kosztów możemy sprokurować sobie jakąś sukienkę wieczorową. Jest to może najpoważniejszy wydatek w karnawale, ale nie najważniejszy.

Z troską o tualetę łączy się również troska o wygląd naszej buzi. Tu właśnie należy być bardziej ostrożną w postępowaniu, niżeli w wyborze stroju, gdyż obok pewnego umiaru i gustu musimy uważać jeszcze na to, by nie wyrządzić sobie szkód, chociażby tak niewinnym środkiem kosmetycznym, jak puder, lub pomadka do ust.

Powszechnie panuje przekonanie, że tak zwany „maquillage” jest szkodliwy, sam zaś puder i kremy, lub też płyny niszczą cerę. W zdaniu tem jest dużo prawdy, jednakże przyczyny szkodliwości należy szukać jedynie w ujemnym wpływie na cerę szkodliwych związków, jakie znajdują się w wielu wymienionych postaciach kosmetyków, a przedewszystkiem w szminkach i pomadkach. Tutaj trzeba mieć na uwadze nietylko sam związek chemiczny składnika, ale i jego gatunek. Albowiem wiemy, że cały szereg związków chemicznych, lub też roślinnych wyciągów, w najlepszym gatunku, wywiera wpływ dodatni, podczas gdy takie same preparaty stare, źle przygotowane lub też oczyszczone niedostatecznie, mogą powodować podrażnienia skóry, nadawać jej kolor żółty, ciemny, wywołać jej zwiotczenie, a co zatem idzie zmarszczki, i być przyczyną całego szeregu nawet poważniejszych cierpień, jak pryszczycy, liszaje i t. p.

Przykładem może być chociażby olejek migdałowy, który oddaje sam przez się, czy też jako składnik wielu z kosmetyków, nieocenione usługi. Musi być jednak pierwszorzędного gatunku i bezwzględnie świeży, w przeciwnym bowiem wypadku zamiast dodatnich, otrzymamy wyniki bardzo smutne.

Również należy pamiętać o składnikach szkodliwych nietylko dla skóry, ale i dla całego organizmu, które mogą powodować zatrucie całego ustroju, podrażnienie nerek i t. p. Wielu fabrykantów dodaje tego rodzaju związki do kosmetyków, ażeby nadać im „większą siłę działania” (np. wybielić), nie licząc się zupełnie z wpływami ujemnymi. Jeżeli taki preparat nie zawsze wywiera skutek trujący, to się tłumaczy odpornością samego organizmu. Poza to zawsze należy się liczyć z indywidualnymi właściwościami o-

sobnika, stosującego ten lub inny preparat. Ież to osób np. stosuje preparaty, zawierające chininę, jod, sok poziomkowy i t. p. środki napozór niewinne, a jednak wiele z nich uskarża się na przykre konsekwencje tylko dlatego, że organizm ich nie znosi, chociażby były najświeższe i pierwszorzędного gatunku.

Dlatego też, stosując ten lub inny preparat kosmetyczny, należy bezwzględnie znać jego składniki (jakościowe i ilościowe). A tego, niestety, nie możemy powiedzieć, szczególnie stosując jakieś nieznanne preparaty nawet pierwszorzędnych firm, zwłaszcza zagranicznych, które znamy jedynie z ogłoszeń. A przecież ogłoszenie o preparacie, o jego „eudownem” działaniu, podaje sam tylko fabrykant, lub też osoba zainteresowana w tem, by jaknajwięcej sprzedać.

Inaczej jest z pudrami, kremami, płynami, szminkami i innymi formami kosmetyków, o których wiemy, że zawierają w sobie nietylko składniki nieszkodliwe dla skóry i całego organizmu, lecz nawet dobrane działające.

Również duże znaczenie ma sposób stosowania kosmetyków. Przykładem może być zwykłe pudrowanie. Wiemy bowiem wszyscy, że nawet najlepszy i najodpowiedniejszy dla danej cery puder jest szkodliwy, gdy nałożony będzie na skórę nieoczyszczonej. Powodować bowiem może wówczas jęczenie skórno-łojowe, co jest bardzo szkodliwe dla cery. Natomiast nałożony na skórę oczyszczonej, lub też na jakiś odpowiedni dla danej cery krem, użyty jako podkład, nietylko nie niszczy cery, ale wprost przeciwnie, chroni ją od ujemnych wpływów atmosferycznych.

A więc trzeba pamiętać (szczególniej przy „maquillage’u”), by wszystkie stosowane kosmetyki: krem, płyn, puder, szminka, pomadka — były gatunku pierwszorzędного, odpowiednie dla danej skóry (cery) i to nietylko co do jakości, ale i co do formy, i wreszcie, by odpowiednio były stosowane i nakładane na bezwzględnie dokładnie oczyszczonej twarzy.

Co do strony czysto optycznej, to należy pamiętać, że w „maquillage’u” musimy zawsze postępować indywidualnie.

To bowiem, co upiększy jedną, może zszpecić drugą; pozatem dużą rolę odgrywa oświetlenie i umiar. Nigdy twarz nie powinna być podobną do lalki, cała bowiem sztuka upiększenia musi polegać na nadaniu twarzy cech naturalnej świeżości i piękności. Maquillage powinien uwypuklić ładne rysy, skryć wady, nadać rysom harmonję; musi być taki, by twarz stała się świeża i ładna, jednakże bez śladów nadmiernej nad nią pracy.

Na dzień powinno się puder zawsze dobierać do koloru cery. Jedyne przy cerze poślółkowej, chorobliwej, można dodać nieco odcieniu różowego.

Wieczorem odcień pudru powinien być inny, niż we dnie, a mianowicie przy cerach jasnych powinien być jaśniejszy, przy ciemnych zaś nieco ciemniejszy.

Kolor włosów nie odgrywa zbyt dużej roli, albowiem wiemy, że często spotyka się brunetki o ośniewającą białą karnacją, blondynki zaś o ciemnej cerze.

Przy specjalnie wieczornym „maquillage’u” używa się również pudrów w kolorze lila i zielonym, które dają przy dużym oświetleniu efekt nadzwyczajny. Należy jednak pamiętać, że przy stosowaniu tych kolorów wrodzony smak artystyczny albo fachowe przygotowanie jest rzeczą bezwzględnie potrzebną.

Z puszków najlepsze są z puchu łabędziego, które należy często prać w benzynie, jednakże o ile nie jesteśmy pewni ich czystości, lepiej stosować zwykłą watę, którą bez kłopotu i większego nakładu kosztów zawsze można zmienić.

Kolor różu na dzień powinien być również ściśle dobrany do koloru cery i nigdy nie może być zbyt jaszkrawy.

Wieczorem jednak można sobie pozwolić na kolor mocniejszy. Zwłaszcza efektownie wyglądają panie o ciemnej cerze przy stosowaniu odcieni ceglanych.

Na twarze pełne i okrągłe róż daje się tylko od skroni po przez kość policzkową; przy twarzy zaś szcuplej, pociągłej — przez całą powierzchnię policzka. Pod oczy daje się również odrobinę różu.

Dalszy ciąg powyższego tematu, a mianowicie o rzęsach, t. zw. „emalji”, o sposobach nakładania kremów, o karnacji pleców, rąk i t. p., pomówimy w następnej pogadance.

Dr med. Zofja Rostkowska.

KARTOFLE JAKO POKARM I ŚRODEK LECZNICZY

Nauka bieżącego stulecia uznała wartość pokarmową kartofli za równą wartości chudego mięsa tej samej wagi.

Pożywność pokarmów mierzy się, jak wiadomo, ilością kaloryj, czyli jednostek ciepłych, jakie się kryją w pokarmie. Zarówno kartofle, jak chude mięso, zawierają około ośmiuset kaloryj w kilogramie, lecz to nie wyczerpuje sprawy.

Oto np. istnieją dwa odrębne rodzaje mąki kartoflanej: biała, przedstawiająca prawie czysty krochmal, otrzymywana przez wyplókiwanie

krochmalu z rozdrobnionych kartofli, odsączenie i odcisnięcie z wody, a następnie wysuszenie i zmielenie; oraz żółtawa, otrzymywana przez wysuszenie kartofli w całej masie, zmielenie i odsianie od obierzyn. Pośredni gatunek jest produkowany w tych suszarniach, gdzie drogą pewnych zabiegów technicznych usuwają przed wysuszeniem sok („Fruchtwasser“) z kartofli.

Żółta suszonka kartoflana, z dodaniem jedynie tłuszczu i wody, może długo utrzymywać spożywcę w pełni dobrego samopoczucia, gdy mąka kartoflana biała w tych samych warunkach szybko prowadzi do zaniku sił. Zatem, znając wartość odżywczą pokarmów, stawiamy mąkę białą pod względem dietetycznym znacznie poniżej żółtej (na kisielki nadaje się jednak tylko biała, a nie żółta).

Jeśli mówimy o równowartości pokarmowej kartofli i chudego mięsa, to na tej zasadzie, że obydwa te artykuły nie tylko dostarczają zbliżonej ilości ciepłoty, lecz zarazem — w odpowiednich warunkach — mogą czynić zadość potrzebom organizmu co do ilości białka.

Wprawdzie odsetek białka w mięsie jest wielokrotnie wyższy niż w kartoflach, lecz należyce pielęgnowany organizm może się zadowolić znacznie mniejszą ilością białka przy odżywianiu się głównie kartoflami, niż przy użyciu przeważnie pokarmów mięsnych. Przy doświadczeniach żywnościowych profesorowi Hindhede wystarczyło mniej, niż 50 gr. białka dziennie, a d-rowsi Rose i jego dorastającemu synowi było potrzeba niewiele więcej. Natomiast, jeśli się odżywiamy głównie mięsem, wówczas organizm będzie wymagał dwustu i więcej gr. białka dziennie, jako minimum dla równowagi w przemianie materji.

Zmniejszenie potrzeby białka zależy od składników mineralnych, jakie zawierają kartofle, a także krew ludzka i zwierzęca, mleko kobiet i zwierząt. Sprawę tę bliżej omówimy na innym miejscu. Tu nadmienimy, że ma ona znaczenie przełomowe dla pomyślnego rozwoju jednostek i narodów.

Jeśli do powyższego dodamy, że przy gotowaniu kartofli obranych przechodzą do wody zawarte w nich ciała białkowe i mineralne, to będziemy mieli wyjaśnione, jak straszliwym marnowaniem nie tylko pieniędzy na żywność, lecz i sił organizmu na trawienie, jest wylewanie do ścieków wody, w której gotowaliśmy kartofle.

W celu przeprowadzenia doświadczeń nad wartością odżywczą pokarmów, prof. Hindhede żywił się wyłącznie kartoflami, tłuszczami i wodą przez trzy miesiące, a jego laborant Madsen — prawie przez cały rok; przy tem Hindhede celowo

40 lat Odol



Kto nabędzie w styczniu r. b.

butelkę Odolu, otrzyma z okazji
40-letniego jubileuszu firmy Odol

bezpłatnie szklanek.

wybierał dla siebie kartofle najuboższe w białko, a dla Madsena — przeciętne. Hindhede przy tem odżywianiu czuł się dobrze, a Madsen zaś tak świetnie, że mógł imponować wytrzymałością i siłą, pracując jako murarz lub ogrodnik.

Myśl tych doświadczeń zaczerpnął prof. Hindhede ze spostrzeżenia, że robotnicy polscy w Danji wyróżniali się wytrzymałością i sprawnością w pracy, dopóki żyli kartoflami i mlekiem (nawet odtłuszczone), a tracili na wartości, gdy się „zarażali“ dobrem duńskim odżywianiem.

Trzy czwarte do czterech piątych wagi kartofli stanowi woda. Nie jest to korzystne dla spożywcę. Najlepszą formą przyrządzania jest zatem pieczenie na blasze kartofli, pokrajanych w talarki i podsypanych ziarnkami kminku, które chronią od przypalenia i podnoszą aromat; dobre jest też smażenie kartofli w tłuszczu. Temi sposobami ilość wody w kartoflach łatwo się obniża do tej, jaka jest zawarta w chlebie. Wskutek odparowania następuje takie stężenie soku i zarazem skoncentrowanie soli roślinnych w kartoflach, że można je spożywać z wielkim smakiem nawet bez dodatku soli kuchennej, która jest tak w Polsce nadużywana, że przyczynia się do rozwielmożnienia gruźlicy, reumatyzmu i artretyzmu, sklerozy, cierpienia nerek, zbyt uciążliwych porodów, etc.

Dobrze jest również spożywać kartofle gotowane w łupinach, lecz wtedy łupiny wypada usuwać, co jest z krzywdą dla organizmu. Obierając kartofle gotowane, traci się 4, a surowe — 12 do 24 procent wagi kartofla, co jest zresztą mniej ważne, niż pozbawianie się cennych soli mineralnych, zawartych w skórce

kartoflanej, które zapobiegają przeciążaniu organizmu kwasami mineralnymi: siarką, fosforem i chlorem, których nadmiar spotykamy w naszym przeciętnym odżywianiu, zwłaszcza w zimie. Poza tem włóknik obierzyn ożywia ruchy kiszek i chroni od zaparcia.

Dzięki swym solom, kartofle, niepozbawione soku, lub sok z kartofli, mają wartość leczniczą wód alkalicznych. Wywar z obierzyn kartoflanych odgrywa dużą rolę w skutecznej kuracji, jaką zastosowano względem pięciuset marynarzy krążownika niemieckiego „Kronprinz Wilhelm“ w r. 1915-ym. Pozostając przez ośm miesięcy na obfitym stole, lecz pozbawionym tego, co wiedza przed osiemnastoma laty jeszcze traktowała, jako zbędne — marynarze ci wpadli w niemoc, u wielu granicząca z paraliżem.

Do tej wstrząsającej kwestji powrócimy, omawiając składniki mineralne w naszym odżywianiu, które u nas w zimie i wiosną przedstawia się oplakanie.

Te składniki kartofli, które chorym marynarzom pomogły do opamiętania niemocy, ludziom „zdrowym“ przysparzają sił do życia i pracy!

Zaznaczyć tu wypada, że dr. Rose w słynnych doświadczeniach żywnościowych dowolnie wywoływał u siebie bóle reumatyczne i ischiatyczne (rwa kulszowa), żywiąc się przeważnie mięsem, a usuwał te dolegliwości, przechodząc na żywienie się głównie kartoflami.

Twierdzenie, jakoby kartofle były trudnostrawne i wywoływały zaburzenia, może dotyczyć tylko spożywania kartofli nadpsutych lub kielkujących, albo też wchłanianych

bez należytego naślinienia w ustach. Pierwszorzędni medycy zalecają papkę z kartofli, ugotowanych w „mundurach“ (i obranych po ugotowaniu) niemowlętom już w czwartym miesiącu życia. W cierpieniach gorączkowych papka z kartofli lepiej robi, niż rosolki mięsne. Przystawalność procentowa kartofli w organizmie ludzkim jest ogromna, większa, niż mleka.

W naszym mizernem zimowem odżywianiu kartofle zapobiegają ciężkiej niemocy — skorbutów.

Prof. Hindhede zanik dzumy w Europie łączy z rozpowszechnieniem spożycia kartofli.

Cenny pomysł chleba z kartofli, propagowany przez „Gospodynię Litewską“ już w połowie zeszłego stulecia, został spaczony przez błędy gospodarki z czasów wojny światowej, lecz musi z czasem odżyć, bo ma racjonalne uzasadnienie zarówno natury dietetycznej, jak i ekonomicznej.

Miazga z surowych kartofli sprawia wielkie ulgi, jako okład w owrzodzeniach.

Na zakończenie dodajmy, że w chorobach artretycznych, reumatycznych, w cierpieniach serca, nerek, pęcherza, przy opuchlinach — znakomicie robi kuracja, polegająca na spożywaniu dziennie kilograma kartofli, ugotowanych w łupinach, i piciu litra wody codziennie, z wyłączeniem wszelkich innych pokarmów, a zwłaszcza soli kuchennej. Przytem konieczne jest pozostawanie w łóżku, bo ruch zagrażałby zdrowiu serca, przeciążonego energicznym usuwaniem płynów, zatrzymanych w organizmie. Rolę środka moczopędnego odgrywa przy tem potas (którego kartofle zawierają pewien procent). Dla osób z rozwiniętymi niedomaganiem serca pożądana jest przy takiej kuracji opieka lekarska.

Oto część chwały, należnej kartoflom, codziennie używanym, a tak jeszcze mało znanym ogółowi, bo pierwsze gruntowne doświadczenia dietetyczne z kartoflami przeprowadzone zostały dopiero w roku 1912.

Czasy ogólnej biedy powinny przyczynić się do poprawy naszego odżywiania, bo racjonalne używanie pokarmów wypada taniej, niż chaotyczne, a jest podstawą szczęścia jednostek, rodzin i narodów.

Tadeusz Lewicki.

KURSY RACJONALNEJ KOSMETYKI Dr. J. ŚWITALSKIEJ

kształcą na zawodowe kosmetyczki. Świadczenie ukończenia kursów uprawnia do wykonywania zabiegów kosmetycznych na terenie całej Rzeczypospolitej Polskiej. Ilość słuchaczek ściśle ograniczona. Zapisy odbywają się dwa razy do roku: w styczniu i we wrześniu.

Informacje: **Krucza 31.** Tel. 8-92-77
2870 od godz. 5-ej do 7-ej wiecz.

Śp. prof. Oswald Balzer

W dn. 11 stycznia zmarł we Lwowie w 75-ym roku życia Oswald Balzer, profesor historii prawa polskiego na uniwersytecie Jana Kazimierza, znakomity uczony. Ś. p. Oswald Balzer był nie tylko badaczem historii: był rewelatorem prawdy historycznej, twórcą przeszłości. Państwowość polską odtwarzał w okresie niewoli z wyjątkowym realizmem, obiektywizmem i bezstronnością. „Rozkosz docierania do prawdy — twierdził — jest siłą do tyła potężną, że starczy za wszelką zachętę, że za wszelki, najcięższy wysiłek daje nagrodę najpełniejszą“. — Tę prawdę z pasją uczonego wydobywał na jaw z najróżniejszych momentów dziejowych Polski. Genealogja Piastów, wyjaśnienie charakteru państwowości na przełomie XIII i XIV-go wieku, istota Unji Horodelskiej i Konstytucji 3 Maja, wreszcie obalenie tezy o rzekomej anarchiczności naszego ustroju w dziele „Z zagadnień ustrojowych Polski“ — oto główne etapy jego długoletniej, niezmordowanej twórczości.

Oswald Balzer był nie tylko badaczem i uczonym: był również człowiekiem czynu, umiejącym działać, zdobywać, walczyć, mężnie stawiać czoło opinjom przeciwnym, skoro tego zaszła potrzeba.

W r. 1897-ym, w słynnym liście otwartym do Teodora Mommsena, obalili teorię niemiecką o niższości kultury słowiańskiej.

W r. 1902-im bierze czynny udział w zatargu między Galicją i Węgrami o Morskie Oko; staje przed trybunałem rozjemczym w Hradcu i dzięki przytoczonym przez siebie, niezbitym argumentom historycznym, odnosi całkowite zwycięstwo na rzecz Polski. Był to moment, kiedy imię Oswalda Balzera było na ustach wszystkich, jako imię zdobywcy „Morskiego Oka“, i zyskało rozgłos europejski.

Jego zdolności organizacyjne uzewnętrzniły się w stworzeniu Towarzystwa Naukowego lwowskiego, które, obok jego prac ściśle naukowych i polemicznych, pozostało jako cenna spuścizna po znakomitym uczonym, jako poważny wkład do żelaznego kapitału kultury polskiej.

S. P. O.

Z życia muzycznego

„Turandot“ Pucciniego w Teatrze Wielkim

„Turandot“ — to ostatnia opera pioniera weryzmu włoskiego, Pucciniego, której świetny kompozytor nie zdążył dokończyć. Przedśmiertna arja niewolnicy Liu i marsz pogrzebowy w orkiestrze są ostatniemi technicznymi twórczymi autorza „Tosci“. Nie było mu już danem rozwinąć raz jeszcze pełni kompozytorskiej maestrii w opiewaniu miłości księżniczki Turandot i księcia Kalafa, których duet jest zakończeniem trzeciego aktu. W myśl zasad techniki kompozytorskiej Pucciniego i śladem niezrównanego szablonu jego formy orkiestrowej, dokończył operę Franco Alfano, znany kompozytor włoski. Zakończenie trzeciego aktu i efektowny finał ostatniej sceny jest bardzo udanym dziełem Alfana.

W tej postaci wystawiono „Turandot“ w teatrze la Scala w roku 1926-ym pod dyrekcją Toscaniniego. Tradycja wystawienia wymaga przerwania na chwilę przedstawienia w miejscu, w którym śmierć nie pozwoliła dokończyć opery Pucciniego. Po marszu żałobnym, napisanym z siłą wzruszającą do łez, niewątpliwie w przeczuciu bliskiej śmierci, dyrygent ogłasza publiczności, że w tem miejscu kończy się dzieło Pucciniego, a zaczyna się kompozycja Alfana. Na premierze „Turandot“ w Teatrze Wielkim, uczczono w ten sam sposób pamięć Pucciniego.

„Turandot“ — legenda o krwawej i pięknej księżniczce chińskiej, znana z dramatu Schillera i Gozziego — była już dawno upragnionym tematem Pucciniego, którego weryzm lubował się zawsze w krwawych efektach na scenie. Śmierć, unosząca się w atmosferze scenicznej wszystkich oper Pucciniego, w operze „Turandot“ od pierwszej chwili grozi tym, którzy sięgają po miłość, a oddają katom głowy za trzy nierozwiązane zagadki, zadane przez okrutną księżniczkę.

W ekspozycji aktu pierwszego, nastawionej na najwyższy ton dramatyczny, kompozytor musiał zrezygnować z łatwej dla ucha, melodyjnej kantyleny, którą zdobywał zachwyty szerokiej mas. Konsekwentne przeprowadzenie dramatu wymagało utrzymania się na tym poziomie aż do momentu, w którym serce Turandot otwiera się dla miłości.

Partje Turandot i Kalafa, których dramatyczność zbliżona jest raczej do straussowskiej, są wokalnie różne od dawniejszych kreacji operowych Pucciniego. Oparte o wysokie tony górnego rejestru, napisane są z poczuciem dramatycznym, ale dla śpiewaka są bardzo trudne, a dla przeciętnego słuchacza nieuchwytnie. Jedyne niewolnicy Liu powierzył Puccini piękno włoskiej kantyleny i wzruszający liryzm, który tkwił w charakterze jego twórczości.

Pozatem technika przeprowadzenia opery nie odbiega w „Turandot“ od dawnych oper Pucciniego. Te same efekty instrumentalne, o reminiscencjach z „Toski“ i „Cyganerii“, a w perkusji — z „Madame Butterfly“, pokrewnej zresztą w stylizowanym egzotyzmie japońskim z chińszczyzną, pojętą w smaku włoskim.

Wystawienie „Turandot“ na scenie opery warszawskiej jest triumfem dyrektora Tadeusza Mazurkiewicza, który bez względu na trudne warunki, przygotował operę, jak to bywało za najlepszych jej czasów.

Świetnie zgrana orkiestra była odbiciem zapału, promieniującego z dyrygenta; chóry były doskonale przygotowane przez Sillicha, a reżyserja Lewickiego tchnęła życiem.

Partja Turandot niezupełnie odpowiada p. Maryli Krzywicz. P. Gołębiowski śpiewał pięknie, ale niezupełnie jeszcze jest opanowany. Zato Liu p. Żmigród-Fedyczkowskiej miała pełnię wyrazu dramatycznego i przekonującą siłę w śpiewie lirycznym, i tą kreacją, pozornie epizodyczną, artystka wybiła się na pierwszy plan w operze.

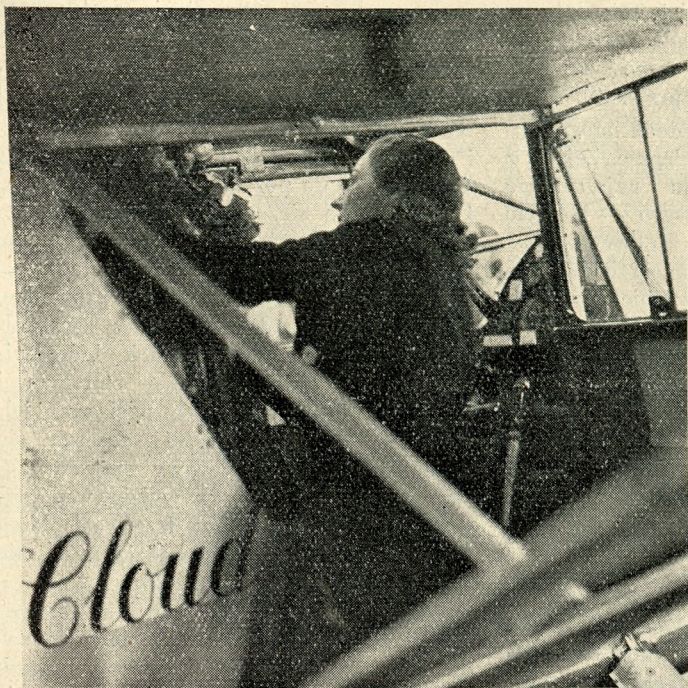
Wystawa, jak w bajce z „Tysiąca i jednej nocy“, jest zasługą Drabika.

P. L.

Kobieta w świecie i w domu

LOTNICZKA W SWOIM SAMOLOCIE.

Amy Johnson dekorująca kwiatami swój samolot przed odlotem z lotniska Le Bourget pod Paryżem po sławnym ostatnim locie ponad Afryką.



MIKROSKOP D-ra KOCHA ZA OSZCZĘDNOŚCI JEGO ŻONY.

Z okazji Kongresu przeciwgruźliczego, który się odbył we wrześniu b. r., przypomniano sobie ciekawy fakt, dotyczący sławnego d-ra Roberta Kocha, który odkrył zarazek gruźlicy. Dr. Koch w początkach swej kariery naukowej, znajdując się w niezwykle ciężkich warunkach materialnych, nie mógł sobie pozwolić na kupno mikroskopu, niezbędnego do jego pracy. Żona jego postanowiła jakoś zaradzić złemu. I rzeczywiście — ze skromnych pieniędzy, przeznaczonych na wydatki gospodarskie, potrafiła zaoszczędzić sumę, potrzebną na kupno kosztownego instrumentu, który ofiarowała mężowi w 28-ą rocznicę jego urodzin.

NAGRODA ZA DOBROCZYNNOŚĆ.

Słynna Helena Keller otrzymała w tym miesiącu nagrodę w wysokości 1.000 funtów szt., przyznaną dorocznie przez Pictorial Review Company. Nagroda ta jest przeznaczona dla kobiety amerykańskiej, która w ostatnich 10-ciu latach dokonała największego czynu na polu dobroczynności publicznej. Okazało się, że w tym czasie Helena Keller zebrała 200.000 funtów szter. na cele niesienia pomocy niewidomym i głuchoniemym.

JAPOŃSKA PRZYJACIÓLKA KOBIEC.

Podróżując po Japonji, można zauważyć przy każdej rampie kolejowej następujący napis: „Poczekaj trochę! Bóg jest Miłością (Towarzystwo przyjaźni kobiet — Harade, miasto Kobe)“.

Napis ten — to jeden z wielu środków, stosowanych przez p. Nobuko Jo w walce z licznymi samobójstwami ubogich kobiet japońskich.

P. Jo jest znaną w Japonji przyjaciółką kobiet; jednym z jej czynów jest prowadzenie z własnych funduszy domu wypoczynkowego dla kobiet, już od lat 20-tu. Pani Jo jest osobą niezwykle popularną; przyczynia się do tego nadawanie jej różnych nazw w związku z kampanją, jaką prowadzi.

AFRYKAŃSKIE PŁONY.

W Londynie na wielkim państwowym jarmarku kolonialnym zwracało powszechną uwagę jedno stoisko. To południowo-afrykańska gwiazda filmowa, miss Margot Grahame, demonstrowała afrykańskie płony: pomarańcze i precudne strusie pióra.

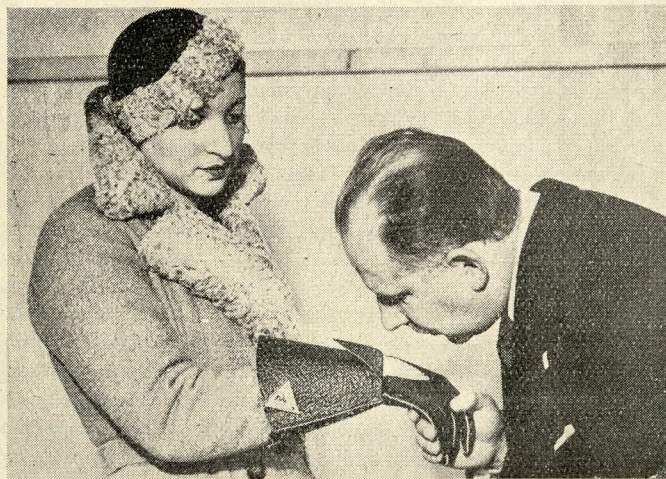
NAJSTARSZA PŁYWACZKA

Najstarszą chyba pływaczką na świecie jest pani Cuvelier-Despretz z Roubaix (Francja), która w 95-im roku życia nie zrezygnowała z codziennej godziny pływania.

Liczni widzowie podziwiają sprawność fizyczną p. Cuvelier, obserwując jej „trening“ w publicznych pływalniach jej rodzinnego miasta.

CALUJĘ TWOJĄ DŁOŃ, MADAME!

Ostatni wynalazek paryski: rękawiczka z klapką, którą można podnieść, jeżeli dama chce być pocałowana naprawdę w rękę, a nie „w psią skórkę“. Prawdziwa „klapa bezpieczeństwa“ wobec wysokich mankietów i szczelnych rękawów.



MÓWNIKA

Odpowiedź na ankietę pt.: „O nowy typ mężczyzny”.

Czyszczenie ambicji męskiej.

I.

Przedewszystkiem musimy sobie uprzytomnić, że drogę ku usamodzielnieniu, którą kobieta zmuszona była przebyć szalonym skokiem w przeciagu kilku zaledwie lat, a w niektórych wypadkach nawet kilku miesięcy, mężczyzna odbywał stopniowo na podstawie ewolucji, z pokolenia na pokolenie — w ciągu wieków — siłą rzeczy więc zmiany w jego psychice zaznaczyły się mniej jaskrawo, niż w kobiecej w okresie ostatnich lat kilkunastu. Zmiany niewątpliwie zaszły i dają się odczuwać przeważnie jako zgrzyty i starcia na nowych polach wspólnej pracy. Nie możemy jednak mężczyzny, który przeżył Wielką Wojnę i dziś jest w pełni sił, nazwać „nowym mężczyzną”: on jest jeszcze ciągle dawny, tylko *przystosowany* (z większą lub mniejszą dozą dobrej woli — przeważnie z twardej konieczności, rzadziej z przekonania) do współżycia z nową kobietą. Nowym typem mężczyzny będzie może ten, który teraz podrasta i dojrzewa, a może dopiero ten z następnego pokolenia.

Przyjrzyjmy się narazie w porządku chronologicznym zmianom, jakie zachodziły na psychicznym obliczu tego dzisiejszego, przystosowanego mężczyzny.

Naprzód był wyraz zdumienia, gdy po powrocie z wojny zobaczył, że kobieta, pozostawiona bez jego opieki, nie tylko potrafiła sama wyżyć, ale i dzieci wyżywić i podźwignąć wiele zupełnie nowych obowiązków. Wyraz ten przeszedł następnie w uśmiech niedowierzania i pobłażliwej ironji, gdy oczekiwał rychłego unormowania stosunków na wzór przedwojennych i powrotu kobiety na jej dawne, podrzędne stanowisko. Powrót ten nie nastąpił. Ironja przeszła w grymas zniecierpliwienia, złości i zawiści: kobieta umocniła się na zajętych placówkach i stała się konkurentką w pracy. Obecnie kryzys stał wyraz lekceważenia z twarzy mężczyzny: niezadowolenie, zawiść zawodowa raczej się wzmogły, ale sporadycznie można już zauważyć wyraz szacunku i starannie ukrywanego uznania dla naszej energii. Jest to charakterystyczne dla psychiki męskiej (tak podobnej w wielu objawach do dziecięcej), że z chwilą, gdy musi zgodzić się z niepożądanym dla niego, ale dokonanym faktem — usiłuje jaknajdłużej zachować wszelkie pozory, że się nie zgadza i nie o tym fakcie nie wie; wtedy jego „męska ambicja” mniej cierpi. Tak jest i teraz — z dokonanym faktem wyzwolenia kobiety.

II.

Oczywiście, że cicha ta zgoda miewa objawy niezawsze pożądane. Dotyczy to specjalnie życia rodzinnego. Wprawdzie z jednej strony wydatna współpraca kobiety wpływa na zbliżenie się duchowe mał-

żonków i dziś niema już w rodzinie spraw „kobięcych” i „męskich” — są tylko zadania i kłopoty wspólne (wzrost zaufania do energii żony); z drugiej jednak strony kobieta tak silnym ramieniem podparła chwijający się wóz rodzinny, że mężczyzna odczuł znaczne odciążenie, odetchnął z ulgą i w wielu wypadkach poprzestaje już tylko na *markowaniu* pomocy. Bywają skutki jeszcze bardziej oplakane, bo niewyczerpane siły i dzielność dzisiejszej kobiety staje się czasem jednym z pretekstów do porzucenia jej z małymi dziećmi; dotyczy to jednak typów męskich zdecydowanie ujemnych i zdarzało się tak samo i dawniej, choć rzadziej i bez tego pretekstu.

W stosunku do dzieci jednak naogół widzimy znaczną zmianę na lepsze. Zejście z konieczności z piedestału najwyższego władcy — Jowisza domowego — zbliżyło duchowo ojca do dzieci, a z powodu coraz trudniejszych warunków życia codziennego zetknął się on i praktycznie z wychowaniem własnego dziecka od małego i dziś już nie wstydzi się popychać wózka z niemowlęciem, ani odprowadzać córki lub syna do szkoły. Najlepszy dowód czynnego zainteresowania się ojców mamy w licznych ich udziałach w szkolnych Kolach rodzicielskich.

III.

Nieraz, oddając w duszy całą sprawiedliwość wysiłkom dzisiejszych kobiet, mężczyzna nie przestaje jednak w dalszym ciągu klasyfikować ich na dwie grupy. Do pierwszej zalicza: matkę, żonę i siostrę, którym niewolno ani na włos odchylić się od idealnej linii cnoty; do drugiej — te inne, które z urzędu już muszą być niemoralne (bez względu na to, że dla kogo innego też może są siostrami i żonami). Te istnieją poto, aby przy nich mógł „odpoczywać” po tamtych swoich — idealnych. Sam zaś, zależnie od kaprysu, jest albo oschłym, papierowym moralistą, albo liberalnym i frywolnym motylkiem.

W tej dziedzinie mężczyzna dzisiejszy nie drgnął nawet w swoim konserwatyzmie i nie godzi się na żadne reformy.

Czy nazwać to podwójną moralnością, czy może potrójną (dwie grupy kobiece i trzecia jeszcze inna — męska, która może tu i tam żerować), nie wiem, ale wydaje mi się, że nie się tu, niestety, nie zmieni na lepsze, dopóki istnieje jawna i tajna prostytucja.

IV.

Spotykając się dwu płeć na terenie wspólnej pracy i sportu, jako współzawodników, nie może, oczywiście, odbywać się bez tarcia. Stosunki wzajemne nie są jeszcze dobre. Mówię „jeszcze”, bo mam pewne dane przypuszczać, że przy stałej współpracy uzdrowią się i unormują pomysłnie. Naprzykład praca kobiet na polu artystycznym i w medycynie od tak dawna zdobyła sobie prawo obywatelstwa, że z zajęciem siebie nią tych placówek mężczyzna prawie się już pogodził; boli go tylko i drażni każda nowa zdobycz nasza i traktuje to z upartym zaślepieniem, jako

umniejszenie jego praw do życia. Tymczasem jest to oczywiście nieporozumienie, które jednak w tym pokoleniu bodaj rozwiązane nie będzie. Trzeba na to, aby świat „utrząśnięty” (że tak powiem) po kataklizmach i aby każdy znalazł się na swoim miejscu. Miejsca dla wszystkich jest dosyć, tylko że w jednych dziedzinach jest dzisiaj tłok, a inne niezmiernie puste.

Narazie największą przeszkodą we wspólnej pracy jest uparte wprowadzanie przez mężczyzn zabarwienia erotycznego. Ogólnie biorąc, ciągle jeszcze z tego stanowiska traktują całą sprawę, przyczem jedni, segregując pracownice według ich oczu, nóg i postawy, uważają za zdolne i odpowiedzialne tylko te, które im się podobają, a co do pozostałych orzekają krótko, że są „do niczego” — inni znów wpadają w drugą ostateczność i zięją nienawiścią do pracownic młodych i ładnych, posadzając je ryczałtowo o złe prowadzenie się. Ci w każdym wypadku, szczegółowo, jeśli są na stanowiskach kierowniczych, dają pierwszeństwo starszym i brzydkim, które nie mogą pociągnąć ich fizycznie. Jeśli ten nastrój czasem się zmieni i wszelki niezdrowy erotyzm zostanie wyeliminowany z godzin wspólnej pracy, mężczyzna spojrzy trzeźwym okiem na pracę kobiety i nie będzie mógł nie uznać wszystkich jej walorów.

W dziedzinie sportu powinny wypowiedzieć się osoby fachowe: ja, niestety, do nich nie należę, z obserwacji jednak sądzę, że wszelkie starcia w tej dziedzinie muszą mieć łagodniejsze formy, bo wchodzi tu w grę niezmiernie ważne czynniki dodatnie: powietrze i słońce — tło radosne, w przeciwieństwie do zakładów pracy zamkniętych, no, i młodość, przeważnie bardzo wczesna młodość, która wiele darowuje, a wiele pomija żartem i śmiechem.

V.

Przechodząc do t. zw. emancypacji mężczyzny, przedewszystkiem zastrzec się należy przed fałszywym i płytkim jej pojmowaniem przez pewne jednostki męskie, których pogląd wyraża się w takim mniej więcej zdaniu: „Chcecie równouprawnienia, to zrezygnujcie ze wszelkich względów towarzyskich, dających pierwszeństwo kobiecie”. Pomijając już nawet, w jak żaloszny sposób tego rodzaju powszechny pogląd odbiłby się na życiu kulturalnym i obyczajowym społeczeństwa, stwierdzić musimy, że pomimo zrównania praw do życia i nauki, pomimo koleżeństwa w pracy, kobietę zawsze otoczy nimbem i wywyższy najszczytniejsze i naczelne jej posłannictwo, jakim jest macierzyństwo.

Po tym wstępie możemy przejść do właściwego tematu i stwierdzić, że przejęcie przez kobietę części obowiązków męskich, przy jednoczesnym wychowywaniu dzieci, oraz nowe zadania społeczne przy konieczności prowadzenia gospodarstwa, sprawiły, że kobieta nie ma dziś możliwości z takim zapamiętaniem oddawać się pielęgnacji męża, wprost nie ma już czasu na takie obsługiwanie jego osoby, jak to by

wało dawniej. Bardzo niedawno jeszcze mężczyzna, bez względu na wiek i stan zdrowia, był w domu najstarszym dzieckiem, niedolężnym pieszczołkiem. Klasyczna stuprocentowa gospodyni domu (żona, matka dorosłego syna, względnie dorosła córka, prowadząca gospodarstwo) poczytywała sobie za punkt honoru, aby pan domu po powrocie z pracy zastawał mały raj, gotowy na jego przyjęcie, i aby, broń Boże! do jego świadomości nie przedostało się nic, co mogłoby mu spoczynek zamącić.

Dziś spotykamy jeszcze gdzieś takiego kacyka, który po powrocie do domu jest stale zmęczony i odpoczywa, podczas gdy żona po pracy zarobkowej rzuca się natychmiast w wir nie mniej męczących zajęć domowych: ale są to chyba ostatni już Mohikanie tego régime'u. Przeważnie mężczyzna emancypuje się potrochu, w tem znaczeniu, że radzi sobie sam (choć z jękiem) w drobiazgach życia codziennego, „aż“ do przyszycia guzika i nalania sobie szklanki herbaty włącznie; a czasem i z poczucia sprawiedliwości i konieczności podziału pracy dobrowolnie pomaga żonie w zajęciach gospodarskich, gdy ona nie waha się przejąć części jego pracy poza domem. Czy psuje to harmonję rodzinną, czy, przeciwnie, pomaga do zacieśnienia węzłów przyjaźni i życia się — zależy to wyłącznie od poziomu duchowego i kulturalnego danych jednostek.

VI.

Niezasłużoną krzywdą współczesnego mężczyzny nazwałabym (może trochę górnolotnie) *niemożność rozwinięcia skrzydeł* przez wybitne jednostki, wyrastające ponad szary poziom umysłem, duchem i wykształceniem. Poczucie, że, posiadając skarby wiedzy i talentów, muszą usychać wśród bezbarwnej doli i zamęczać się troską o chleb powszedni; odczuwanie własnej wyższości i konieczność ustępowania na każdym kroku zwierzętom w skórze ludzkiej, poczucie możności stworzenia potężnego dzieła, a konieczność ukrywania go, jak bolesnego wrzodu — śmiało można nazwać wielkim cierpieniem człowieka.

Dlaczego godzi to boleśniej we współczesnego mężczyznę, niż w kobietę? Bo rani jego chorą, przewrażliwioną po wojnie ambicję, rani jego wiekami, z pokolenia na pokolenie rzeźbione poczucie wielkości i doskonałości, które dziś po raz pierwszy w naszej erze przygasa i schodzi w cień wobec nagłego a wspaniałego rozkwitu indywidualności kobiety. Nie powinno to być jednak źródłem żalu i nie nawiści do tej kobiety i w żadnym razie nie można tego nazwać „piekłem mężczyzny“, bo nie można przeprowadzić żadnej analogji z piekłem kobiet, gdzie podstawą jest pierwiastek seksualny i krzywda ze strony płci odmienniej.

Tu o niezyczej winie nie może być mowy, bo coraz mniej jest kobiet, przykuwających mężów do taczki codziennego życia; raczej przeciwnie: to one teraz, choć

nie mniej uzdolnione i pełne aspiracyj, ale świeższe i energiczniejsze, zaprzęgają się wesoło do tej „taczki“, aby on mógł umysł swój zużywać na wielkie dzieła (jeśli ma potem kwalifikacje). Tej krzywdzie winne są, jak zawsze, i tym razem nienormalne stosunki współczesne. Jest to więc może „czyścić ambicji męskiej“ (ale nie „piekło“), czyścić, z którego, miejmy na-

dzieje, pomoże mu się wydostać nowa kobieta.

Niema też jakiejś nowej przepaści pomiędzy dwiema pleciami, bo z nastaniem epoki przewagi kobiety, która zdaje się nadchodzi, przepaść każda się wypełni, a na nowym gruncie, obok miłości zakwitnie może wreszcie piękna przyjaźń i wzajemne zrozumienie.

H. Znatowiczówna.

WIEWIÓRKI

Dawniej, gdy ziemia Polska pokryta była niezmiernymi lasami, o bogatym podszyciu leszczyny, były u nas niezliczone ilości wiewiórek. Z biegiem jednak czasu dziewicze lasy wycięto, a na ich miejsce częściowo zasiano lasy sztucznie. Niestety, naogół w takim lesie podszycie jest ubogie. Leszczyna zaczyna być rzadkością, to też ilość wiewiórek zmniejsza się z każdym rokiem.

Od kilkunastu lat jest duży popyt na skórki wiewiórcze. Był moment, że za jedną płacono do 20 zł. Hossa ta odbiła się fatalnie na rodzie wiewiórczym.

Dziś istnieje ustawa o ochronie wiewiórek.

Mamy w Karpatach odmianę, posiadającą czarne futerko. Skórki o takiej barwie są na rynku poszukiwane i opłacałoby się napewno urządzić fermę hodowlaną.

Wiewiórka w niewoli czuje się dobrze, płodność jej nawet się zwiększa tak, że z łatwością można otrzymać od jednej pary 12 — 15 sztuk młodych rocznie.

Na skórki nadają się już zimowe futerka rocznych sztuk.

Rentowność takiej fermy zależy ściśle od możności zdobycia taniej karmy. Karmienie musi być intensywne i możliwie urozmaicone, bo ma to wielki wpływ na jakość futerka.

Najodpowiedniejszą karmą będą tu wszelkie nasiona drzew iglastych, suszone grzyby, jagody, orzechy, suchy chleb, bułka, suszone owoce, słonecznik, kawalki cukru (zwłaszcza w czasie silnych mrozów).

Wiewiórkę łatwo przyzwyczaić do picia mleka. Jest to bardzo ważne przy odkarmianiu młodzięży, bo wpływa na zwiększenie pokarmu matki, a i młode można również mlekiem dokarmiać.

Są u nas okolice lasów bukowych, gdzie całe tonny orzeszków się marnują. W tych okolicach należałoby zakładać fermę wiewiórczą.

Wiewiórka posiada tę właściwość, że jej stałe rosną zęby. Trzeba więc dostarczać jej takiego pokarmu, aby je sobie mogła ścierać. Nasiona drzew iglastych dajemy w szyszkach, pozostawiając stworzonkom samym troskę o ich wydobywanie.

Co do ilości zadawanej karmy,

musimy się kierować jedynie obserwacją. Należy pamiętać, że zwyczaj gromadzenia zapasów zachowują wiewiórki i w niewoli.

Wiewiórka — to stworzonko niesłychanie miłe. Cała postać ładna i zgrabna. Przez cały dzień są w ustawicznym ruchu: skaczą wesoło z gałęzi na gałąź.

Posiadają zdolność przeczuwania zmian pogody. Są szczególnie niespokojne przed burzą i wydają wtedy ostre dźwięki.

Miłośnikom przyrody obserwacja życia wiewiórek może dostarczyć wiele przyjemności. Pracę tę można polubić i przywiązać się do swoich pupilów.

Hodowla jest bardzo łatwa; dowodzi tego choćby fakt, że często się zdarza widzieć zdrowe i wesołe wiewiórki, hodowane w klatkach w pokoju.

Sama miałam w dzieciństwie przez 5 lat parkę wiewiórek w klatce. Hodowały się znakomicie i były tak oswojone, że na wołanie przychodziły brać z ręki łakocie. Specjalnie lubiły czekoladki. Niestety, padły ofiarą kota.

Urządzenie fermy wiewiórczej nie pociąga za sobą tak wielkich kosztów, jak innych zwierząt futerkowych, a dzięki temu, że płodność ich jest stosunkowo duża, kapitał szybko się zamortyzuje.

Wiewiórka nie znosi spiekoty i wilgoci, to też teren, przeznaczony na zakładanie fermy, powinien mieć grunt przepuszczalny i musi być porośnięty krzakami i drzewami, dającymi cień.

Wiewiórki żyją parami, więc dla każdej buduje się osobną zagrodę.

P. M. Trybulski w swej książce podaje następujące wymiary klatek: 2 — 3 m. długości, 2 m. szerokości, 2¹/₂ m. wysokości. Wierzch i boki zagrody muszą być osiatkowane. Siatkę używa się mocną, cynkowaną, o średnicy 2¹/₂ cm. Od dołu wpuszczamy ją na 1¹/₂ m. głęboko w ziemię. Górę częściowo przykrywamy daszkiem z desek. U samej góry dajemy półkę drewnianą, gdzie wiewiórki w słońcu używają spaceru.

Do każdej zagrody wkopujemy rosochaty pień, aby miały po czem skakać. W rozgałęzieniach pnia mieszczą się dwie skrzynki noclegowe:

30 x 30 cm. i 25 cm. wysokości. Wewnątrz buduje się skrzynki tak samo, jak dla kuny leśnej. Do środka prowadzi okrągły otwór, umieszczony tak, aby zwierzątko łatwo mogło się dostać do domku.

Okres ciąży trwa 28 dni; młode rodzą się ślepe, niedołożne i są przez rodziców troskliwie pielęgnowane. Po 6 — 8 tygodniach zaczynają już same żerować.

W ciągu roku samica daje dwa mioty; pierwszy zwykle w kwietniu, a drugi — w początkach lipca. Cała gromada żyje w przykładowej zgodzie, skacząc po całej klatce. Trzeba im tylko zbudować trzeci domek noclegowy, lub też, co lepiej, przenieść młode z pierwszego miotu do innej zagrody.

Najlepsze futerko posiada wiewiórka od połowy grudnia do połowy stycznia. W tym też czasie należy je zabijać. Zabijamy wiewiórki przez umieszczanie ich w specjalnej skrzynce z chloroformem.

Mięso z wiewiórek może być użyte na karmę dla futerkowych mięsożernych, jak kuny, sobole, gronostaje, norki i t. p.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

KOSMETYKA

Wady cery, skóry, włosów, żył. Elektroterapia.

Dr. ZOFJA ROSTKOWSKA

Telefon 8-99-29.

508

Mokotowska 51

PANI, która dba

o wytworny wygląd MĘŻA

kupuje tylko bieliznę marki

GeZet

z czerwoną nitką.

2826

PRZEPISY

GOSPODARSKIE

KOTLETY CIEŁĘCE SIEKANE.

(na prośbę pani N. S.)

Na pół kilo cieleciny bez kości dodać piętnaście deka wieprzowiny i dziesięć deka słoniny. Cielecinę doskonale wyżyłować, aby żadnych błonek nie pozostało. Wszystko mięso zemieć razem, dodając trzy bułeczki (15 deka), wymozone w mleku i dobrze wyciśnięte. Wbić jajko całe, wsypać łyżeczkę strychowaną zieloną lub suszonym koperku, jeśli mamy

pod ręką. Wyrabiać masę doskonale, aż od ręki odstanie. Uformować dziesięć niegrubych kotletów. Utarzać w mące. Smażyć na obfitym szmalcu lub maśle. Solić dopiero po zrumienieniu każdej strony oddzielnie. Jest to warunek zachowania białości mięsa. Podawać można z każdą sezonową jarzyną: groszkiem, fasolą zieloną, karotką, brukselką i t. p. Można też do takich kotletów podać sos rumiany cytrynowy czy kaparowy, albo czysty sos pomidorowy.

PERLICE PIECZONE, JAK ZWIERZYNA.

Zmięszać łyżeczkę od kawy majeranku i tyleż utłuczonego jałowcu, dodać do tego soli i mieszaniną tą osolić perliczki wewnątrz. Dać tak poleżeć godzin parę. Następnie osolić perliczki zewnątrz, jak każdy inny drób. Jeżeli są starsze, naszpikować je wędzoną słoninką; jeżeli młode — zawinąć w cienkie płatki takiej słoninki. Dusić ptaki w garnku, podlewając rosółem lub wodą. Gdy zmiękną, zalać kwaśną śmietaną i popieprzyć odrobinę białym pieprzem (śmietany brać kwaterek na każdą perliczkę). Dusić w śmietanie bardzo wolno, aby się śmietana nie zamieniła w masło. Po dziesięciu minutach ptaki wyjąć, rozebrać, jak zwykle, ułożyć na półmisku, otoczyć wkóło grzankami przysmażonymi z bułki. Do pozostałego sosu wsypać mąki (licząc na każdą perliczkę łyżkę deserową), zasmażyć. Rozprowadzić rosółem lub wodą z kostką buljonową do gęstości zawiesistego sosu. Polać tym sosem ułożone na półmisku ptaki i grzanki. Do takich perliczek podaje się wszelkie zielone salaty, wszelkie kompoty albo borówki.

SZYNKĄ W CIESCIE.

Pozostałe, mniej ładne kawałki szynki gotowanej można użyć do okładania jarzynek, puree kartoflanego i t. p., przyrządzając je w sposób następujący. Szynkę pokrajać w niezbyt duże, ale równe plastry. Na pół kilo szynki utrzeć na maseczkę filiżankę mąki i dwa żółtka, osolić, rozprowadzić wodą na ciasto nieco gęstsze, niż na naleśniki. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać ostrożnie z resztą ciasta. Maczać w tem cienkie plastry szynki i smażyć na rumiano w obfitym szmalcu. Tak usmażoną szynkę można także podać z pomidorowym lub rumianym kaparowym czy cytrynowym sosem.

SURÓWKA Z SALSEFJI.

Pół kilo salsefji oskrobać i natychmiast po oskrobianiu wrzucić do zakwaszonej octem lub kwasem wody, aby nie szerniała. Utrzeć na grubej, jarzynowej tarce, używanej do buraków. Jednocześnie utrzeć na tejże tarce duży, twardy, kiszony ogórek lub dwa mniejsze. Wymieszać to wszystko na salaterce z trzema łyżkami oliwy, osolić do smaku, wsypać łyżeczkę od herbaty cukru. Jeżeli salata nie dosyć kwaśna od ogórka, dodać rosółu ogórkowego, lub soku z cytryny. Potrzymać parę godzin na chłodzie przed podaniem na stół.

SUFLET Z WINA.

Pięć żółtek utrzeć do białości z piętnastoma deka cukru. Wlać do rondelka szklanę i ćwierć jakiegokolwiek białego wina, dodać jaja utarte z cukrem i otartą skórkę z cytryny. Ubijać na ogniu trzepaczką, aż zgęstnieje, jak szodon, uważając, aby się nie zagotowało, bo się zwarzy. Zasmażyć dużą łyżką masła z dwiema łyżkami mąki. Rozprowadzić przestygłym szodonem. Pozostałe pięć białek ubić na sztywną pianę, wymieszać z masą. Ogniotrwałą salaterkę lub foremkę wysmarować masłem, ułożyć masę w ładną kopułę, wstawić do niezbyt gorącego pieca na pół godziny (do trzech kwadransy). Wprost z pieca podawać na stół w tem samym naczyniu. Pani Elżbieta.

obiady

dla pracującej inteligencji

(NA 5 OSÓB)

Obiad postny:

Kapuśniak z grzybami.

Dorsz po nelsonsku.

Grzanki gorące.

Siedemdziesiąt pięć deka kiszzonej kapusty zlekką przesiekać tasakiem na desce, aby przy jedzeniu nie ciągnęła się za łyżką. Nastawić w dwóch i pół litrach wody z całą marchewką, upieczoną cebulą i trzema młodymi grzybkami suszonymi. Wrzucić kilka ziarn pieprzu, ziela i listek. Gotować, aż grzybki i kapusta zmiękną. Cebulę i marchewkę wyjąć, grzybki pokrajać w drobne paski. Kapuśniak osolić do smaku, włożyć napowrót grzybki. łyżkę mąki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić kilku łyżkami kapuśniaku, wlać do reszty, zagotować razem.

Kilo dorsza (środkowe dzwońo) przekrajać na pięć równych plastrów, osolić, utarzać w mące, zrumienić lekko po obu stronach na szmalcu lub na maśle z dodaniem oliwy, aby się ryba nie przypaliła. Rybę zdjąć z patelni, a na pozostałym tłuszczu podsmażyć dwie duże cebule, pokrajane w płatki. Ugotować kilo kartofli, obrać z łupin, pokrajać w talarki. Na metalowym półmisku ułożyć rybę i kartofle, pokryć cebulą, zalać kwatereką śmietany, zmieszanej ze szklanką zimnej wody. Odrobinę popieprzyć po wierzchu i wstawić na dziesięć minut w gorący piec. Podawać na tym samym półmisku.

Z pszennego chleba ukrajać dziesięć równych grzaneek. Szklanę mleka rozbić z całym jajkiem. Dodać łyżeczkę rumu lub araku, czy też dodać kilka kropel esencji ponczowej. Wsypać łyżkę cukru. Wymieszać dokładnie, aby się cukier roztopił. Mlekiem tem zalać grzanki. Dać nasiąknąć. Przed samem podaniem smażyć na szmalcu lub maśle. Po usmażeniu posypać obficie cukrem z cynamonem. Podawać bardzo gorące.

Pani Elżbieta.

UCZESANIA KARNAWAŁOWE

Zapowiadano niesamowite rzeczy. Peruki rzeźbione z klejonego na sztywno włosia. Włosy lakierowane, malowane, liworyzowane... Nasz znakomity rodak Antoine powiódł do Ameryki skrzynie, pełne drzewnych opilków. Tak jest: opilków drzewnych. Z tych malowniczo poskręcanych wiórków miał komponować swe najostatniejsze kreacje na główkach najpiękniejszych gwiazd z Hollywood.

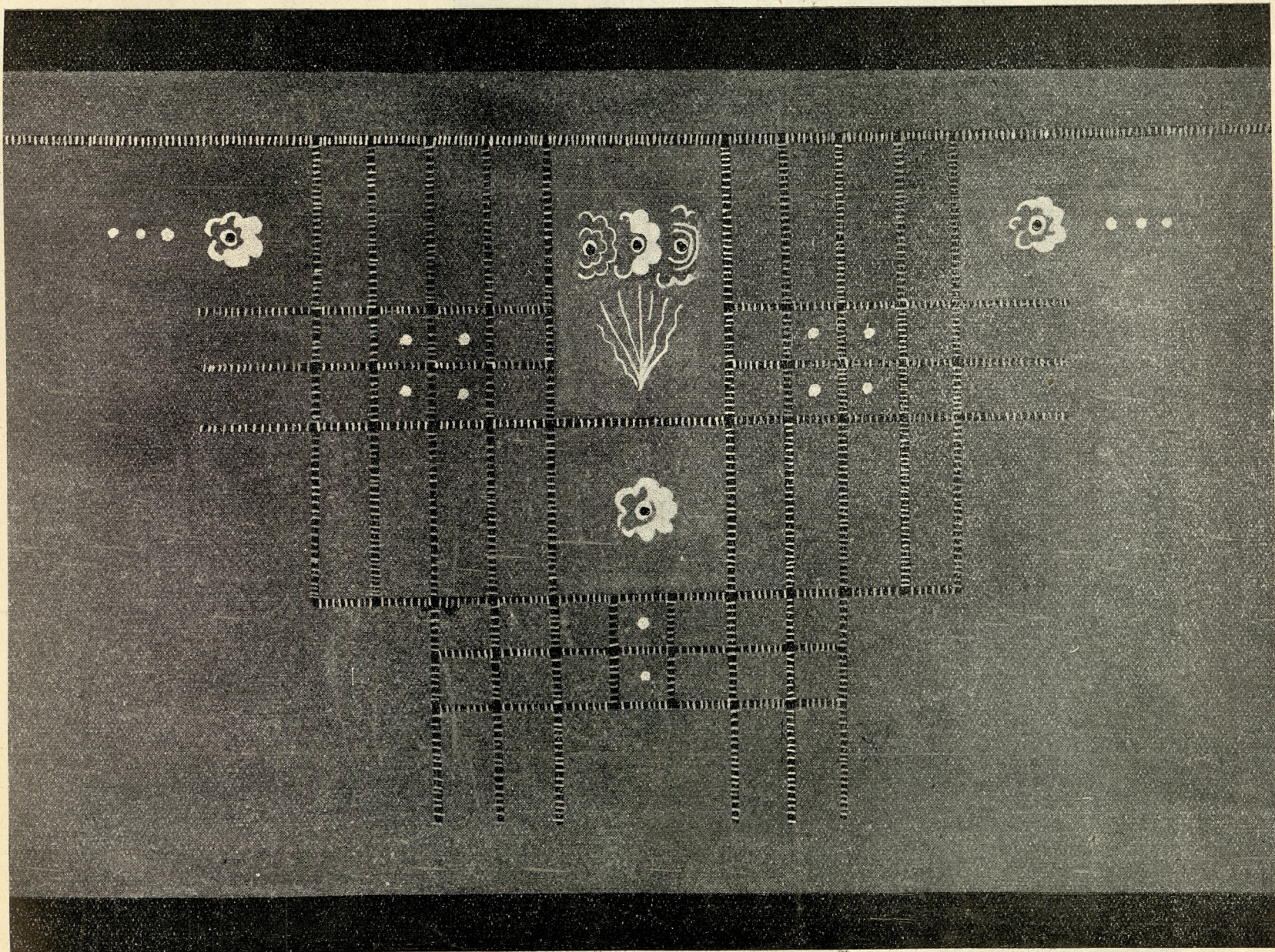
Nie wiem, jak tam gwiazdy. Bo wiadomo — *gwiazdy*. Czego takie świetnie a krótko świecące ciało na firmamencie kinematograficznym nie uczyni, żeby zwrócić na siebie uwagę!.. Nietylko opilki, ale i całe kłody da sobie wwalić na głowę, jeśli jej piękny fryzjer z za morza obieca, że tą drogą uczyni ją sławną.

Ale gdy przyszło co do czego... z niepokojąco wydętej góry wylazła nader pospolita mysz. Klej, lakier i drewniane wióry zostały w sferze dziwolągów — efemeryd. Nie wykroczyły poza rampę music-hall'u i granice fantastycznego świata srebrnego ekranu. Zwykle śmiertelniczki noszą nadal własne włosy, bynajmniej nie lakierowane, przeciwnie: wymyte jaknajstaranniej, jaknajpuszystsze.

Modne kolory: „blond platine” i „romain” osiągają fryzjerzy drogą dekoloreacji. Są to, oczywiście, eksperymenty ryzykowne, którym można się poddawać jedynie u świetnych i odpowiedzialnych specjalistów. Bo nie każdy gatunek włosów nadaje się do podobnych operacji, i tylko doświadczony i *uczciwy* fryzjer zdoła orzec, czy można wogóle zaczynać tę zabawę, czy lepiej się zadowolnić mniej efektownym kolorem włosów, nie narażając się na wylysienie.

Modne są włosy bardzo krótkie. Zrzadka tylko widuje się w modnych wydawnictwach loczki na karku. Wersja, jakoby krótkie włosy nie harmonizowały z tualetami wieczorowymi, należy do licznych, nie wiadomo na czym opartych przesądów. Ondulacja najładniej daje się ułożyć na włosach krótkich. Śliczne są połączenia ondulacji z rzędami płaskich loczków w kształcie pierścionków i półokrągłych kosmyków, zachodzących na jeden policzek - (reminiscencje zeszlorocznych fryzur „en coup de vent”).

Przy tualetach stylowych, fantazyjnych, ładnie wyglądają girlandki kwiatów, płasko na włosach ułożone. Ale taka stylizacja toalety i postaci wymaga specjalnych warunków zewnętrznych i nie znosi zbyt długiego szeregu przebytych karnawałów. Poczujemy się myślą, że można być powabną i kochaną... bez girlandki.



Wzór mereżki i haftu do ozdobienia kombinacji jedwabnej.



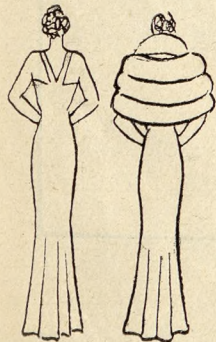
SUKNIA Z BIAŁEGO CREPE SA-
TIN, SORTIE Z WIŚNIOWEGO
AKSAMITU, PRZYBRANE FUTREM.

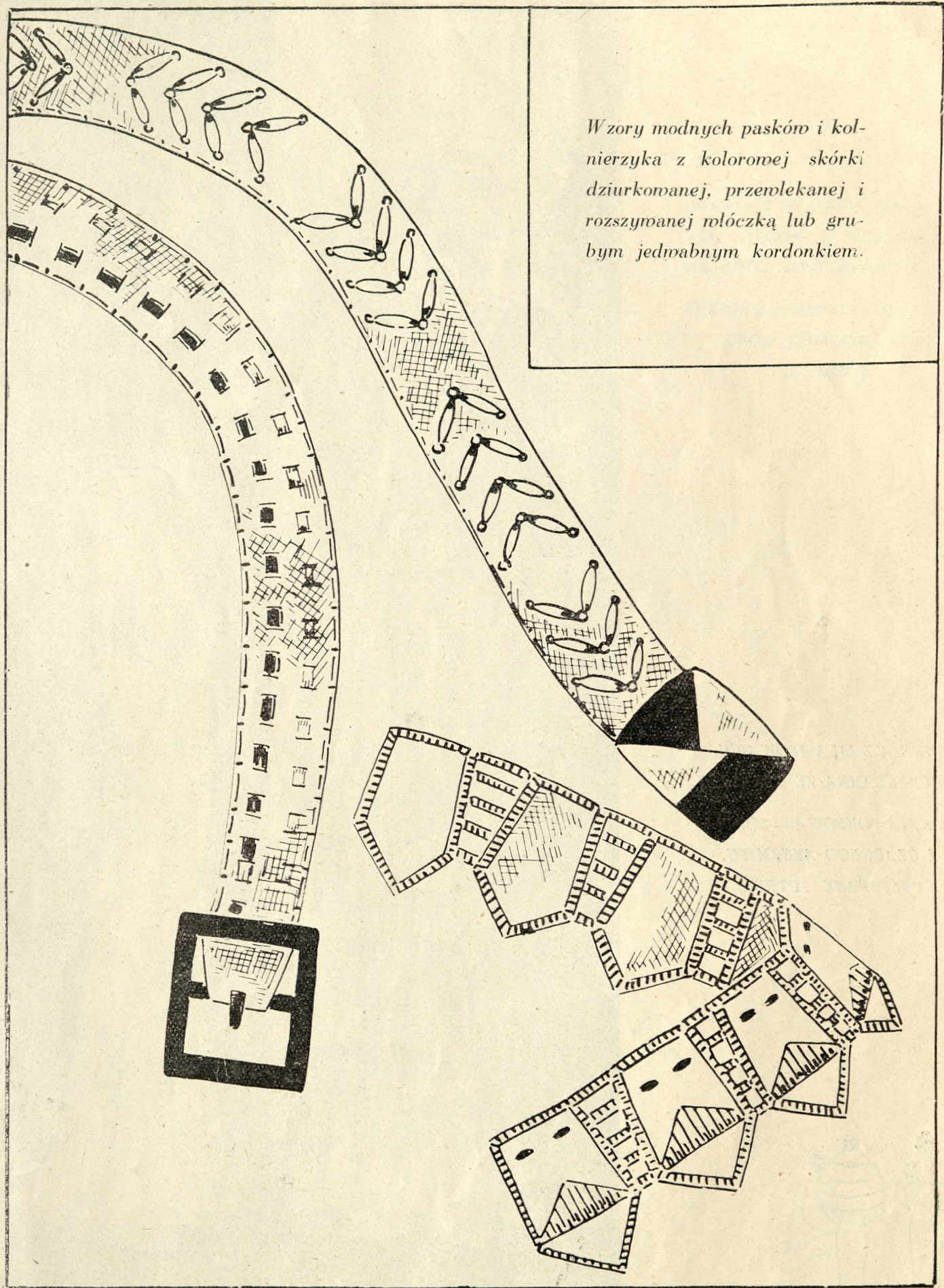
SUKNIA Z CZARNEGO, BŁYSZCZA-
CEGO JEDWABIU LUB
AKSAMITU.



SUKNIA Z LILA JEDWABIU,
SPIĘTA KLAMRĄ ZE STRASSÓW.

SUKNIA PONSOWA — SORTIE
Z CZARNEGO AKSAMITU,
PRZYBRANE FUTREM.





Wzory modnych pasków i kołnierzyka z kolorowej skóry dziurkowanej, przemykanej i rozszywanej włóczką lub grubym jedwabnym kordonkiem.

Książki nadesłane do Redakcji

Szkola specjalna. Kwartalnik poświęcony sprawom wychowania i nauczania anormalnych.

WYDAWNICTWA STOWARZYSZENIA „SŁUŻBA OBYWATELSKA“

Marja Karczewska: „Nowoczesna gospodyni wiejska“.

Marja Bruchnalska: „Ciche bohaterki“.

Instytut Gospodarstwa Społecznego: „Pamiętniki bezrobotnych“.

O. Lisomska: „Co słycać w lesie?“ — Opowiadania dla dzieci. — Warszawa 1935. Nakładem autorki.

Marja Weryho: „Co słonko widziało“. 34 powiastki dla małych dzieci z 27 rysunkami K. Górskiego. Wydanie szóste. Skład główny Książnica Atlas.

Antoni Madej: „Widnokrag“ — poezje. Nakładem Związku Literatów w Lublinie, 1935.

WYDAWNICTWA M. ARCTA.

Rex Beach: „Srebrna ławica“ — przekład Stefanji Heymanowej.

J. I. Kraszewski: „Sceny sejmowe“.

Janina Helm-Pirgowa: „Zastęp“.

Helena Grotowska: „Jeniec z Północy“.

Marek Woltom i Jan Elyot: „Jak obniżyć rachunki elektrowni“.

Antoni Bogusławski: „Mała Tereska“ — Ilustrował Stanisław Bobiński.

M. J. Zaleska: „Wyprawa po skarby, ukryte wśród puszczy“ — Wydanie drugie z rycinami.

Polecamy Paniom drogie, lecz oszczędne w użyciu i niezawodne w skutkach:

**P U D E R,
K R E M R A D O H O R M O N O W Y,
Ś M I E T A N K Ę o r a z G A L A R E T K Ę**
na łupież

2869
Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Zofja Urbanowska: „Gucio zaczarowany“. — Wydanie piąte. Ilustrował Bohdan Nowakowski.

Lewis Carroll: „Ala w krainie czarów“. Wolny przekład z angielskiego Marji Morawskiej. — Wydanie drugie.

BIBLIOTEKA

DZIEŁ PEDAGOGICZNYCH.

Ernest Barber: „Charakter narodowy i kształtujące go czynniki“ — Z oryginału angielskiego przełożyła Irena Pannenkowa.

Nakład „Naszej Księgarni“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Jadwidze J. w Ostromiu Mazowieckim. Serdecznie dziękujemy za życzliwość dla „Bluszczu“, choć nie możemy całkowicie zgodzić się ze zdaniem Szanownej Pani.

Pani Marji A. z cukrowni Nieledew. Pisze Szanowna Pani: „ucieszyłam się, że obiecują Pani trochę humoru. Mamy dość kłopotów i trudności życia. Szanowne i najmiłsze literatki! dajcie nam trochę wesela, słońca, humoru i otuchy“.

„W czasie największego ucisku moskiewskiego mieliśmy więcej radości życia, niż teraz, a wszak jesteśmy wolnym narodem, więc sama ta świadomość powinna nas dźwigać i radować, a dla matek musi być podniętą do wychowywania dzieci na zdrowych i radosnych obywateli, a nie na zblazowanych bridżistów.“

„Literatura ma ogromny wpływ na społeczeństwo, nie trzeba więc go przynębiać, ale dawać pokarm poważny, radosny i pełen otuchy“.

Bardzo nam miło, że nasze intencje zostały tak trafnie zrozumiane. Nie możemy jednak w umieszczonych przez nas w roku ubiegłym powieściach i nowelach doszukać się tego tragizmu, o którym Szanowna Pani wspomina.

Biernicza polska hurtownia

H W Herbata z KOPERNIKIEM
WARSZAWSKIE TOWARZYSTWO HANDLU HERBATA
A. DŁUGOŁĘCKI · W. WRZEŚNIEWSKI · SP. AHC.
okład główny: Warszawa · Bracka 23
sklepy detaliczne: Moniuszki 3 · Bracka 23
Posiada na składzie najwyszczepione gatunki kawy · włama palamnia
524

OD REDAKCJI

Przypominamy naszym Czytelniczkom, że prawo do prenumeraty ulgowej, od Nowego Roku 1935 wynoszącej 5 zł. 60 gr. miesięcznie, przysługuje wszystkim urzędnikom i urzędnikom państwowym i komunalnym, wojskowym i ich żonom, oraz nauczycielstwu. Prenumeratę ulgową należy wnosić wprost do administracji „Bluszczu“ za okazaniem legitymacji służbowej.

Odpowiedzi na zapytania z działu prawnego, higienicznego, kosmetycznego i towarzyskiego będą udzielane tylko po załączeniu do listu znaczka 30 groszowego na odpowiedź.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Meble jak tanio można kupić za gotówkę, każdy winien przekonać się, zwiedzając:
Polski Przemysł Meblowy „STYL“
ZŁOTA 7 róg Marszałkowskiej.
KOŁOŚALNY WYBÓR KOMPLETÓW, SZTUK POJEDYŃCZYCH. 2860

TREŚĆ NUMERU: „Demokratyczność“ — *Janina Strzelecka.* Poezje: „Dom mój“ — *M. Znatowicz-Szczepańska.* Ankieta „Bluszczu“: O nowy typ mężczyzny — *Marja Gadomska i Marja Ankiewiczowa.* Cienie wieczoru (powieść) — *Zofja Kunicka.* Warszawa po stu latach — *Aura Wyleżyńska.* Elżbieta, cesarzowa austriacka — *S. Borowska.* Pani w białym fartuchu — *j. w. Janek z Tunisu — Ludwika Ciechanowiecka.* Długie wakacje zimowe — *Marja Ankiewiczowa.* Na karnawał — *Dr. med. Zofja Rostkowska.* Kartofle jako pokarm i środek leczniczy — *Tadeusz Lewicki.* Ś. p. prof. Oswald Balzer — *S. P. O.* Z życia muzycznego — *P. L. Kobieta w świecie i w domu. Mównica. Wiewiórki — Marzenna Saryusz-Stokowska.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta.* Uczesania karnawałowe — *Well.* Mody. Książki nadesłane do Redakcji. Odpowiedzi Redakcji. Arkusz wzorów.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.

Do innych krajów miesięcznie 6 zł. Zmiana adresu 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Solec 87.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: **STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW** (naczelnia) i **MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.**

Redakcja i Administracja: Warszawa, Solec 87, tel. 244-18 i 787-03.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz“, Warszawa, Solec 87.

NA KARNAWAL!

Zeszyt Wydawnictwa
„Modne Roboty Kobiace“
p. t.

KOTYLJONY

zawiera sto kilkanaście pomysłów i artystycznych wzorów tych eleganckich :: ozdób tanecznych ::

Cena 2 zł.

Z przes. 2 zł. 50 gr.

Tow. Wyd. „BLUSZCZ” — Warszawa
1 łac Zamkowy 9 i Solec 87

W KARNAWALE!

BARDZIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK OBOWIĄDUJE
RACJONALNA PIELĘGNACJA SKÓRY!

NIE ZAPOMINAJMY!

RANO I WIECZÓR WETRZEĆ W TWARZ
PO DOKŁADNEM JEJ UMYCIU

KREMU SPORTOWEGO

M. MALINOWSKIEGO

WARSZAWA

512

A P T E K A U L. N O W Y - Ś W I A T 3 1.
L A B. C H E M. F A R M. A P T E K I U L. C H M I E L N A 4.

Co daje
każdej
matce

DWUTYGODNIK

Dziecko i Matka

1) Wyczerpujące wskazówki higieny i odżywiania w ciąży.

2) Praktycznie ujęte najnowsze zasady pielęgnacji niemowląt. Omawia: wyprawkę, pokój, meble, karmienie naturalne, sztuczne i mieszane, kąpiel, sen, spacer, powietrze i słońce w życiu dziecka.

3) Wskazówki odżywiania dziecka do lat 7-miu.

4) Zabawki, zabawy, lekturę, wychowanie fizyczne, sporty dziecięce.

5) Bieliznę, ubranka, sukienki, okrycia (modele, formy bibulkowe, arkusze wzorów).

6) Popularyzację najnowszych prądów z dziedziny psychologii i pedagogiki.

7) Szkice psychologiczne (nowele) z najróżnorodniejszych przeżyć dziecka i matki.

8) Sposoby kształtowania charakteru dziecka, jego stosunek do rodziców i najbliższego otoczenia, wychowanie etyczne, obywatelskie, budzenie miłości do kraju i ludzi.

9) Wskazówki z dziedziny organizacji pracy domowej z naczelnym uwzględnieniem potrzeb dziecka.

10) Stałą poradnię z dziedziny higieny w formie odpowiedzi od redakcji.

11) Popularyzację podstawowych zasad medycyny, zapobieganie schorzeniom, pielęgnacja chorego dziecka, pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach.

12) Liczne ilustracje z najrozmaitszych momentów życia dziecka, z pośród zdjęć, nadsyłanych przez rodziców.

Prenumerata roczna 16 zł., kwartalna 4 zł., miesięczna 1 zł. 40 gr.

Administracja: Warszawa, Pl. Zamkowy 9 i Solec 87.

Konto P.K.O. Nr. 12.900.